P.01668 IV

Cena 1 zł

GEMMA CIVITATIS • PAX •

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 8 maja 1955 r. Nr 18 (492)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

CW 9013

JEAN LACROIX

SENS NOWOCZESNEGO ATEIZMU

W DNIU 12 kwietnia br. przybyła do Polski delegacja czterech francuskich intelektualistów katolickich: Henri Bartoli — socjolog i ekonomista katolicki, wykładowca na uniwersytecie w Rennes i w Grenoble; Henri Bedarida — prof. literatury włoskiej na uniwersytecie sorbońskim i przewodniczący Centre des Intellectuels Catholiques — organizacji katolickich, zrzeszających katolicką inteligencję twórczą; Albert Béguin — dyrektor miesięcznika „Esprit", krytyk literacki i pisarz oraz Jean Lacroix — filozof katolicki, prof. na uniwersytecie w Lyon.

Wizyta gości francuskich trwała tydzień. Byli oni m. in. podejmowani przez Stowarzyszenie „Pax" w Warszawie, Lublinie i Krakowie. Tydzień ten stał się dla katolików polskich wielkim przeżyciem intelektualnym. Kilkakrotne spotkania, w czasie których goście nasi wygłosili w sumie szereg odczytów, upłynęły w atmosferze szczerości, zaufania i przyjaźni, którą zrodził najgłębiej pojęty wysiłek twórczy dążący do postępowego rozwoju myśli katolickiej.

W Warszawie odbyły się trzy konferencje. Prof. Lacroix wygłosił dwa referaty: „Sens współczesnego ateizmu", którego tłumaczenie zamieszczamy poniżej, oraz o „Moralności, która zatraciła pojęcie grzechu", a prof. Bartoli omówił zagadnienie „Chrześcijaństwo a sens historii". W Lublinie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim wygłosili referaty: prof. Henri Bedarida pt. „Pierwiastek boski i ludzki we współczesnym teatrze francuskim" oraz Albert Bèguin o „Życiu i dziełach Bernanosa". W Krakowie A. Bèguin omówił zagadnienia wielkich pisarzy katolickich (chrześcijańskich) XIX wieku.

Wizyta katolickich intelektualistów francuskich przypadła w okresie podpisywania przez cały naród polski Apelu Wiedeńskiego. Fakt masowego składania podpisów przez społeczeństwo polskie wywarł ogromne wrażenie na naszych gościach, którzy w pełni doceniają znaczenie walki o pokój. Dał temu wyraz prof. Lacroix w swym pożegnalnym przemówieniu, w którym podkreślił wielką rolę Polski w dziele utrwalenia pokoju.

NIE ma nic bardziej banalnego jak nietzscheański motyw śmierci Boga. Zresztą u Nietzschego bynajmniej nie oznaczał on, jak chce fałszywa interpretacja jego myśli, postulatu zabicia Boga, ale stwierdzenie, że Bóg umarł zanim ludzkość zaczęła Go ignorować, że ludzkość zabiła go jakby nieświadomie, a potem przerażona własnym krokiem szukała wykrętnie zapomnienia, odmówiła wzięcia na siebie odpowiedzialności za ten czyn i postanowiła dalej żyć, jak gdyby nigdy tego czynu nie popełniła. Dlatego ludzie stali się ofiarami jakiegoś chorobliwego uczucia winy za popełnione czyny, za które nie śmieli wziąć na siebie odpowiedzialności.

Dziś ten do najwyższego stopnia zwulgaryzowany motyw śmierci Boga nie stanowi już przedniej straży myśli ateistycznej: nawet w swej sensowności motyw ten już się przeżył. Wielu ludziom wydaje się także śmieszne pragnienie dowodu na to, że Bóg nie istnieje, lub na to, że Bóg istnieje.

Zauważono, że w ciągu XX wieku ateizm przeszedł z płaszczyzny intelektualnej na płaszczyznę egzystencjalną. Używając określenia Proudhona można powiedzieć, że stał się on antyteizmem. Ale walka z Bogiem sama jest wynikiem wiary w Boga i tę wiarę zakłada. Antyapologetyka wzywa apologetykę, a antyteologia teologię. Oto dlaczego najbardziej żywa i najgłębsza myśl dzisiejszego ateizmu usiłuje umieścić się do pewnego stopnia poza problemem Boga. Nigdy nie zrozumiemy tej tendencji, jeśli sami nie spróbujemy wejść w tę paradoksalną sytuację współczesnej myśli ateistycznej. Problem Boga ujmowany jest jako problem mityczny, teologiczny, a filozofię, która powinna stać się w pełni filozofią ludzką, najściślej określa wiara teologii. Poza tym ateizm współczesny nadaje wierze w Boga interpretacje historyczne, psychologiczne lub socjologiczne. Już sam tytuł dzieła Paul Diela, *La Divinité—Etude psychoanalityque* jest znamienny dla tej podstawy myślowej. Ateizm w żaden sposób nie jest już punktem dojścia, ale jest punktem wyjścia. Ateizm stanowi ramy sytuacji już gotowej i zastanej, która określa krąg myśli i działania, jest prawdziwa, uprzednio daną wartością. W tym sensie Marks mógł napisać, że ateizm należy przezwyciężyć. Bynajmniej nie oznacza to, że komunizm traktuje prawdę o nieobecności Boga jako zdobycz umysłu ludzkiego i że odtąd myśl komunistyczna tym skuteczniej zająć się może problemem istnienia człowieka. „Wobec faktu, że człowiek stał się bytem poznawalnym zmysłowo i widzialnym w świecie przyrody — pisze Marks w *„Ekonomii Politycznej i Filozofii"* — pytanie dotyczące istnienia bytu innego, bytu nadrzędnego w stosunku do świata i człowieka straciło praktycznie swój sens. Pytanie to bowiem zawierałoby stwierdzenie wewnętrznej sprzeczności istniejącej w pojęciu świata i człowieka. Ateizm jako zaprzeczenie tej wewnętrznej sprzeczności nie ma sensu, gdyż będąc zaprzeczeniem Boga, stwierdza on istnienie człowieka. Ale socjalizm jako socjalizm nie potrzebuje więcej tego pośrednictwa; wychodzi on bowiem z faktu świadomości teoretycznej, praktycznie sprawdzalnej, człowieka obecnego w świecie, a poznawanego w kategorii bytu". W ten sposób tradycyjne stanowisko myśli ateistycznej zostaje całkowicie porzucone i powinniśmy mieć jasną świadomość tego faktu.

Ogólnie rzecz ujmując, przynajmniej w ramach cywilizacji zachodnich, teizm, pod rozmaitymi postaciami, jeśli można tak powiedzieć, był „na placu". Ci, którzy zaprzeczali istnienie Boga, byli jakby poza nawiasem społeczeństwa, tak się działo przynajmniej z masami. Postawa ich w całym tego słowa znaczeniu była wysoce wyjątkowa. Mogła ona wprawdzie szukać oparcia w tradycji materialistycznej, ale mimo wszystko była ona ciasna i ograniczona. Postawa ateizmu oznaczała konieczność odejścia tak w dziedzinie działalności jak i w dziedzinie myśli. Ateizm wymagał lektury i wolnego czasu, postawy hyperintelektualnej i pewnej pogardy dla tłumu. „Ateizm jest arystokratyczny" mawiał Robespierre, a ponieważ nienawidził „arystokratów", nienawidził również „ateuszów". W przeciągu jednak wieku XIX ateizm przestając być aystokratyczny i intelektualny, stał się ateizmem demokratycznym i politycznym. U wielomilionowej rzeszy ludzi ateizm jest wyrazem pewnego stanu wynikającego z najrozmaitszych prądów, często zbieżnych, niekiedy płynących obok, a nawet przeciwnych sobie. Przede wszystkim te założenia i te postawy, choć nie pominiemy również uzasadnień czysto intelektualnych, staną się przedmiotem naszej analizy. Schematycznie materiał ten podzielimy na trzy rozdziały ujmując go krótko jako: 1. Humanizm naukowy; 2. Humanizm polityczny; 3. Humanizm moralny.

I
HUMANIZM NAUKOWY

PRAWDĄ powszechnie uznaną, przynajmniej wśród chrześcijan, jest fakt, że konflikt wiedzy i wiary jest już odległą historią, obecnie skończoną, i która nie mogłaby się już powtórzyć, ponieważ myśli wyrażające oba te stanowiska poruszają się na płaszczyznach zupełnie odmiennych, uniemożliwiających im spotkanie. Epoka tego, co nazywano scjentyzmem wydaje się być całkowicie zamknięta. Możliwe, że postawa ta jest zbyt optymistyczna, a nawet zbyt uproszczona, nie liczy się bowiem ani z duchem współczesnym nuaki, ani z życiowymi wymaganiami wiary. Zamiast spoczywać w pozycji wątpliwej pewności, lepiej przypatrzeć się temu bliżej i zanalizować postulaty poznania naukowego, jego ducha i jego założenia.

W ujęciu tradycyjnym nauka stanowiła pewnego rodzaju drogę dojścia do Boga. *Coeli enarrant Dei gloriam!* Wnikając coraz głębiej w przedziwne sprawy świata oddawano hołd Bogu, jako Jego Stwórcy, pogłębiano równocześnie i oczyszczano ideę Boga. Ale postawa ta trąci już myszką. Bardziej wymagająca postawa odrzuca te ułatwienia i stwierdza głośno rozdział porządków: nauka zachowuje całkowitą autonomię w swojej dziedzinie, ale dziedzina ta nie zawiera wszystkiego, a roszczenia nauki stają się nadużyciem, skoro wkraczają na pole moralności, filozofii czy religii. Poznanie naukowe dotyczy świata zjawisk. Nie może ono niczego nam powiedzieć o bycie, do którego doprowadza nas filozofia i religia. Ale postawa tego separatyzmu lub raczej stawiania obok siebie tych dwóch porządków jest postawą bardzo wygodną. Nie istnieje już z jednej strony świat fenomenalny, a z drugiej świat numenalny, bez możliwości przejścia od jednego do drugiego. W pewnym sensie numeny są fenomenami. Oznacza to, że w jakiś sposób nauka nie wychodząc poza zakres swego porządku, słusznie uważa, że może osiągnąć to, co jest oczywiste. Dlatego tak mówi P. Russo w swej małej *Histoire de la Pensée Scientifique*, reakcja z początku wieku XX przeciw scientyzmowi i pragmatyzmowi Poincaré'go oraz wysiłki Duhema udowadniające, że nauka pozostaje na powierzchni rzeczy, że nie osiąga ich istoty, zostały dokonane zbyt tanim kosztem: koncepcje te nie dość jasno ukazują możliwości stojące przed nauką. Dziś stoimy w obliczu nauki bardziej pewnej siebie, o której trudno nam powiedzieć, że nie dociera ona do jądra rzeczywistości. Pocóż jeszcze dodawać, że rozwój poznania naukowego stawia przed człowiekiem problem jego natury i zmusza go do refleksji nad samym sobą? Odtąd właśnie częściej nauka niż filozofia, a może nawet religia zdobywa przywilej zobowiązywania całej ludzkości do kolektywnego wysiłku stawiania pytania dotyczącego jej bytu i jej losu. Nauka wierna swemu duchowi i swej metodzie umieszcza te problemy we wnętrzu świata: pragnie dojść do serca rzeczywistości w ramach doczesności, usiłuje zabezpieczyć losy ludzkie w tych obecnych ziemskich związkach. W ten sposób rozwija się i krystalizuje pewien stan umysłu, pewna „mentalność", której należy przypatrzyć się bliżej.

Nauka klasyczna postawiła pod znakiem zapytania możliwość przejścia od świata do Boga. Można by to wyrazić schematycznie mówiąc, że jeśli filozofia może *pozostawić Boga refleksji*, to z całą pewnością nauka obala *Boga eksplikacji*. Już epikurejczycy stawiali wszelkiej hipotezie naukowej dwa postulaty: wytłumaczenie fenomenów i wykluczenie możliwości ingerencji bogów. Postawę tę można by nazwać *ateizmem metodologicznym*. *„Ateizm* — mawiał Renouvier — *jest prawdziwą metodą naukową"*. Rzeczywiście dla naukowca jako takiego, w jego naukowej pracy rzeczywiste jest na mocy definicji to, co jest mu dostępne, prawdziwe zaś jest tylko to twierdzenie, które może on sprawdzić na drodze własnych metod. Rzeczywistość nie jest czymś stwierdzanym, ale czymś sprawdzanym. Nauka w miejsce „przedmiotów" i „fenomenów" stawia prawa naukowe wyrażające związki istniejące między „fenomenami", a nie tylko wewnętrzne właściwości „przedmiotów". Ale ostatecznie poznanie to zdobywa możność działania w stosunku do przedmiotu naszego doświadczenia i to właśnie stanowi gwarancję obiektywności tego poznania. Schematycznie rzecz ujmując, można powiedzieć, że celem nauki jest wyjaśnienie pewnych stanów, w jakich znajduje się świat, przez inne jego stany, lecz nigdy nie stawia sobie ona pytania odnośnie świata jako całości. Nauka zakłada świat jako wartość daną i z zasady ogranicza się doń. Immanentyzm jej, jeśli można tak powiedzieć, jest radykalny. Nauka nie pozwala na wyskakiwanie poza jej obszar i na ujmowanie świata jako przedmiotu uformowanego i na szukanie jego autora, zegarmistrza. Wypowiadając tę myśl w terminologii Kanta, nie mamy prawa stosować transcendentalnie zasady przyczynowości. Z faktu istnienia przyczynowości w obrębie świata nie wynika wniosek o istnieniu przyczyny świata. „Usiłując, pisał Lachelier, wyprowadzić istnienie Boga z obserwacji świata, podobnie jak czyni to fizyk, który ze skutku wyprowadza wniosek o przyczynie, popełniam paralogizm. Niewątpliwie każdy skutek zakłada przyczynę, ale przyczynę t e g o s a m e g o p o r z ą d k u, oto prawie wszystko, co mamy prawo stwierdzić na podstawie praw naszego umysłu".

Niewątpliwie trzeba by podkreślić, że nie korzystając z pojęcia Boga jako zasady wyjaśniającej, oczyszczamy to pojęcie. Naukowy dowód na istnienie Boga czyni zeń w rzeczy samej pierwsze ogniwo łańcucha wyjaśnień, ujmuje go jako coś jednorodnego z tą całością wyjaśniającą, nie zachowuje w nim jego podmiotowości, ale czyni go przedmiotem. Deizm w sensie Woltera jest najgorszą formą zaprzeczenia Boga. W tym sensie miał rację Gabriel Marcel, gdy pisał, że zastosowanie kategorii przyczynowości do problemu Boga stało się głównym źródłem ateizmu. Na odwrót, O. Sertillanges przypominał, że nauka wypędzając Boga ze swej dziedziny umożliwiła stworzenie o Nim pojęcia wyższego, bardziej moralnego, bardziej duchowego. „Zrozumiałe jest, że nauka zdetronizowała boga-słońce, boga-chmurę, smoka powodującego zaćmienie i wszystko, co przypominało zabawki religijne. Nauka rozprawiła się ze znachorami leczącymi przez zaklęcia, czarownicami, wróżbitami; przyczyniła się do oczyszczenia uczucia religijnego nawet w sercu chrześcijańskich tłumów i należy się jej za to wdzięczność". Jest to prawda i korzyść z tego nie jest bynajmniej mała: C o k o l w i e k z n a j d u j e n a u k a, t o j e s t w ł a ś n i e t o, p r z e d c z y m b r o n i m y s i ę, b y j e n a z w a ć B o g i e m. Wypada jeszcze podkreślić, że postęp ten jest bardzo dwuznaczny. Pojęcie bowiem Boga oczyszczając się w ten sposób, równocześnie oddala się od szerokich mas, które są specjalnie wrażliwe na męski i czcigodny dowód z przyczynowości.

Ale chodzi tu o stare już osiągnięcie, w którym wiara chrześcijan najgłębiej uświadomionych, jeśli można tak powiedzieć, uległa degeneracji. Nauka współczesna mnozy w nieskończoność trudności i stwarza mentalnćść, postawę duchową, wybitnie sprzyjającą ateizmowi. W swym wybitnym studium na temat *Conscience Chrétienne et Univers* (Lumière et Vie, wrzesień 1954) O. Dubarle wykazał to dobitnie. Od trzech wieków myśl naukowa dogłębnie przewraca wszystko to, co nazywa on „przyczynowymi nawykami" umysłu. Może właśnie tu kryje się najgłębszy nerw jej rewolucji. Ruch nie wymaga już istnienia przyczyny pozamaterialnej i pewnego rodzaju duchowego czynnika poruszającego. Energia powodująca ruch ciał tkwi w tymże świecie ciał, skupia się i przenosi się stosownie do spotkań się rzeczy, zgodnie z prawami, które rachunkowi podporządkowują wszystkie wynikające stąd zjawiska. To, co w wieku XVIII zaszło w dziedzinie pojęcia energii ruchu, obecnie od nowa dzieje się w pojęciu organizacji form i funkcji celowych. W jakikolwiek sposób wyjaśniać będziemy wszechświat, przynajmniej ogólnie przyjąć musimy fakt jego rozwoju. Teorie naukowe są teoriami ekspansji. Państwa gwiezdne mają również swój proces formacji i swoją historię rozwojową. Wiadomo, jaki wspaniały sukces odniósł schemat wszechświata w ekspansji: materia pierwotnie skupiona podzieliła się na wielkie masy w przybliżeniu sobie równe, które nieustannie oddalając się od siebie stworzyły wspaniały proces ekspansji. Każda z nich dla siebie staje się tą mglistą materią, z której rodzi się owo mnóstwo gwiazd wypełniających przestrzenie. Odnośnie naszego świata teorie ewolucji ukazują nam również genezę, która pozwala nam dostrzec ślepą ekspansję życia. Później teorie te ukazują nam człowieka również w procesie stawania się. Wszystko można wyjaśnić wychodząc od początkowych danych. W żadnym momencie tej genezy nie potrzeba uciekać się do jakiejś przyczyny ponadnaturalnej. Fakt ten jest tak dalece pewny, że uczony popełnia błąd stawiając takie istotne pytanie, które mniej więcej można tak sformułować: wszystko, co pobudza do działania

(Dokończenie na str. 4)

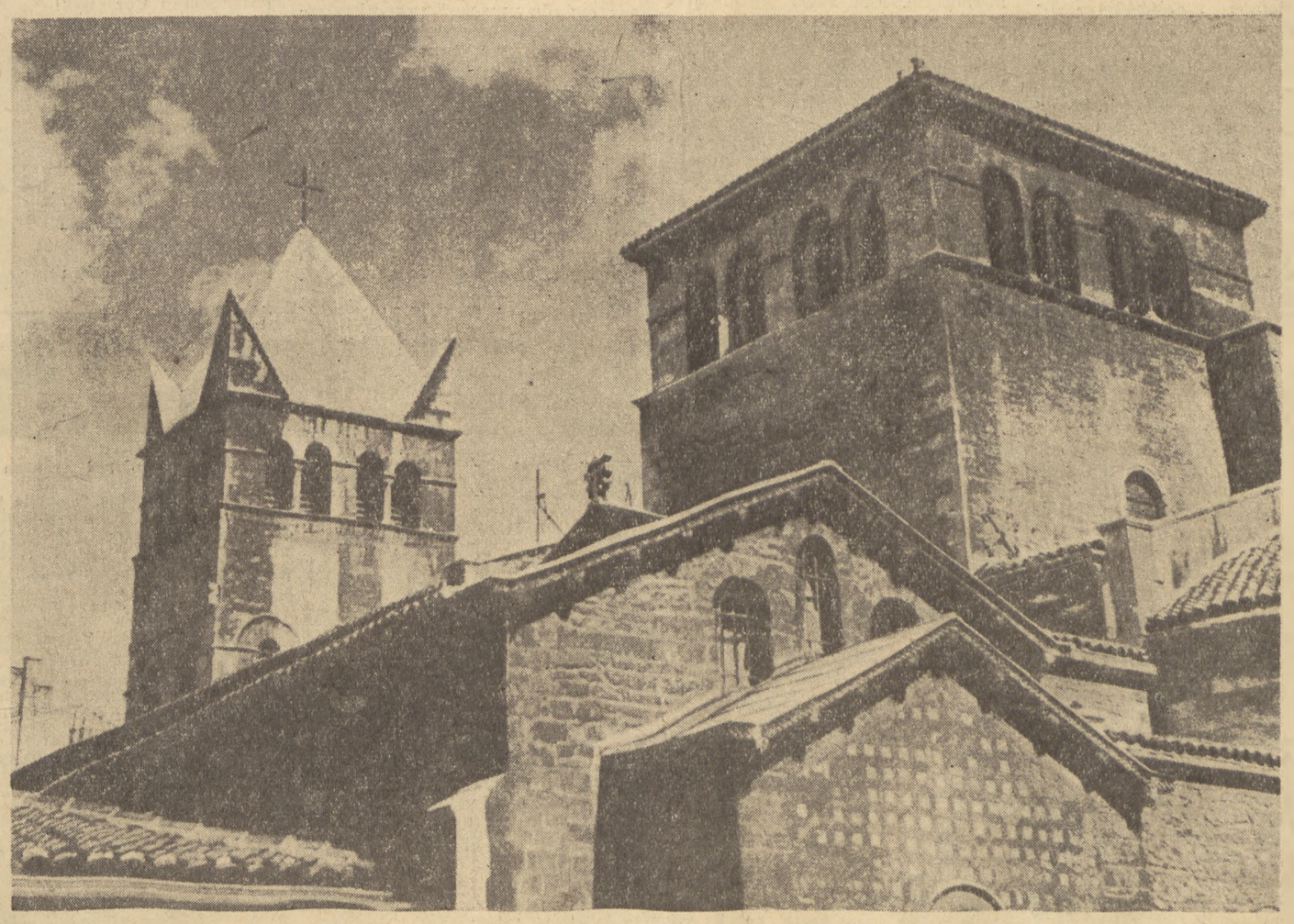

Lyon — Bazylika Św. Marcina z Ainay

DM-59/052

KAZIMIERZ PRZEWŁOCKI

U progu ery atomowej

NIE jest przypadkiem, że od kilkudziesięciu już lat interesowano się możliwością praktycznego przeprowadzenia reakcji jądrowej, w czasie której, wskutek zamiany masy w energię, wydzielałoby się ciepło. Przyczyna tych zainteresowań leży między innymi w tym, że dotychczasowe źródła surowców energetycznych, czyli tak zwanych paliw tradycyjnych (pod nazwą paliwa tradycyjnego rozumie się: węgiel kamienny, ropę naftową i gaz ziemny) są na wyczerpaniu. W związku ze stałym rozwojem przemysłu zapotrzebowanie na te surowce, jak wynika z opracowań specjalistów, wzrasta ok. 5 proc. rocznie. Wynika stąd, że około roku dwutysięcznego roczne zapotrzebowanie na wymienione paliwa wyniesie ok. 11 razy więcej niż w r. 1947. Z opublikowanych danych dotyczących Ameryki wynika, że 50 proc. całego wydobycia węgla kamiennego przypada na okres po roku 1920, natomiast połowę wydobytych dotychczas ropy naftowej i gazu ziemnego spalono po roku 1940. Cyfry te wyraźnie ilustrują ogromny wzrost zapotrzebowania energii. W związku z tym warto zastanowić się jak wielkie są światowe zasoby paliwa tradycyjnego. Tu jednak zdania specjalistów są podzielone. Jedni z nich podają, że istniejące zapasy mogą wystarczyć zaledwie na kilkadziesiąt lat, podczas kiedy inni oceniają ten okres czasu na ok. 200 lat. W świetle tych danych uzasadniony wydaje się pogląd, wyrażony przez jednego z ekspertów, że z końcem bieżącego stulecia węgiel kamienny może stać się już tylko ciekawostką mineralogiczną. Nie można zapomnieć poza tym, że niezależnie od aspektów energetycznych węgiel kamienny jest także podstawowym surowcem dla przemysłu chemicznego. Mówiąc inaczej należałoby go „oszczędzać" i traktować przede wszystkim jako surowiec przeznaczony do produkcji paliw płynnych i dla celów przemysłu chemicznego.

Z podanych faktów wynika niezbicie potrzeba znalezienia nowych źródeł energii i zastąpienia nimi węgla. Dlatego właśnie we wszystkich prawie krajach istnieje tendencja do ograniczenia spożycia węgla. Równocześnie odzywają się głosy, że w zbyt małym stopniu wykorzystywano inne dotychczas znane źródła energii jak energię rzek, słońca, wiatru, przypływów i odpływów morza, energię ruchu obrotowego kuli ziemskiej itp. Prowadzi się teraz intensywne badania i prace w tym kierunku. Mimo tego jednak, że wymienione źródła energii teoretycznie mogłyby pokryć zapotrzebowanie wielokrotnie większe, w praktyce wyraża się pogląd, że udział ich w zaspokajaniu ogólnego zapotrzebowania na energię będzie mały i nie przekroczy kilku procent ogólnego zapotrzebowania. Przyczyną tego jest fakt stosunkowo małej koncentracji energii w tych źródłach. Dalszym usiłowaniem w kierunku poprawy bazy surowcowej jest dążenie do zwiększenia sprawności urządzeń grzejnych. Dotychczas wykorzystuje się na świecie energię cieplną w ok. 20 proc. Specjaliści spodziewają się, że wartość tę uda się podwoić, wskutek czego zasoby paliwa tradycyjnego „zwiększyłyby się" dwukrotnie.

Realne rozwiązanie jednak omawianego problemu mogłoby przynieść jedynie znalezienie zupełnie nowych źródeł energii. Widoki na wyzyskanie nowych źródeł powstały wówczas, gdy Einstein sformułował w początkach bieżącego stulecia prawo równoważności masy i energii. Nastąpił potem okres intensywnych badań. Już w r. 1942 na uniwersytecie w Chicago skonstruowano pierwszy na świecie stos atomowy. Od tego czasu technika budowy stosów posuwała się szybko naprzód. Jako paliwo stosuje się w nich metaliczny uran, lub pluton — sztuczny pierwiastek otrzymywany z U-238. W stosie atomowym o mocy 1000 kW ulega rozszczepieniu zaledwie 1 g uranu na dobę. Z cyfr tych widać jak niezmiernie skoncentrowanym źródłem energii jest paliwo atomowe. Z tego właśnie powodu stos może być źródłem ciepła dla przyszłych siłowni.

Ludzkość uzyskała na tej drodze nowe potężne źródło energii. Jednak złoża uranu na świecie są dosyć rzadkie. Już w chwili obecnej zawartości w skałach uranu rzędu setnych części procenta uważa się za koncentracje przemysłowe. W ostatnich latach opracowano metodę pozwalającą na „spalanie" oprócz uranu również i toru. Mianowicie Th-232 bombardowany neutronami zamienia się na izotop uranu U-233, który daje się już łatwo rozszczepiać powolnymi neutronami. Ocenia się wskutek tego, że ilość energii zmagazynowanej w znanych dotychczas „paliwach atomowych" jest wielokrotnie większa, niż zapas jej zawarty w złożach węgla i ropy naftowej. Wymienia się tu przybliżoną cyfrę 20 — 30 razy. Przytoczone wyżej fakty wskazują na to, że wykorzystanie energii jądrowej dla celów przemysłowych staje się palącą potrzebą ekonomiczną. Okoliczność ta sprawia, że w najbliższych latach muszą powstawać nowe elektrownie bazujące na paliwie „jądrowym", które zaczną stopniowo wypierać siłownie dotychczasowe, opalane węglem kamiennym.

Pierwszą na świecie elektrownię atomową o znaczeniu przemysłowym zbudowano w Związku Radzieckim. Posiada ona jednak niewielką moc użyteczną, bo wynoszącą tylko 5000 kW. W Ameryce prowadzono dotychczas próby przemysłowego wykorzystania energii atomowej jedynie na skalę laboratoryjną. Zbudowany mianowicie w Arco stos dostarczał energii cieplnej elektrowni o mocy 150 kW.

W najbliższych latach należy się jednak spodziewać budowy wielu nowych siłowni atomowych. Już w roku przyszłym na przykład projektuje się uruchomienie elektrowni o mocy 60.000 kW.

W chwili obecnej koszt budowy elektrowni węglowych i atomowych jest porównywalny. Poza tym z opublikowanych danych amerykańskich wynika, że koszt 1 kWh wyprodukowanej w elektrowni atomowej wynosi 0,55 centa, podczas gdy w elektrowni węglowej wynosił on 0,50 centa. Przyjąwszy że do kalkulacji tej nie wliczono wyprodukowanego plutonu, można uważać, iż rzeczywisty koszt energii elektrycznej wyprodukowanej w elektrowni atomowej jest już obecnie niższy niż w dotychczasowych siłowniach cieplnych. Trzeba tu również zaznaczyć, że są to przecież początki nowej zupełnie techniki. Kolejne, lepsze rozwiązania techniczne w wielu związanych ze stosami problemów pozwolą przypuszczalnie na dalsze obniżenie ceny jednostkowej za 1 kWh.

Istnieje już wiele różnych typów stosów. Zależnie od potrzeb i przeznaczenia stosu dobiera się specjalne systemy chłodzenia, odpowiednie materiały konstrukcyjne, typy moderatorów itp. Mimo to przy eksploatacji tych urządzeń istnieją trudności, których usunięcie nie jest łatwe. Mianowicie stosy atomowe w czasie swej pracy wytwarzają, jako produkty rozpadu, wiele nowych pierwiastków promieniotwórczych. Produkty te „zatruwają" niejako stos i zmniejszają jego wydajność. Szczególnie niekorzystny okazuje się tu izotop ksenonu Xe-135, który pochłania powolne neutrony. Wskutek tego zachodzi konieczność wymiany prętów uranowych i poddawanie ich specjalnemu procesowi chemicznego oczyszczania. Jest to okoliczność znacznie komplikująca pracę stosu, chociażby ze względu na to, że bezpośrednio po wyjęciu — pręty uranowe są bardzo silnie promieniotwórcze, do tego stopnia, że operacja wyciągania ich ze stosu musi się odbywać automatycznie bez udziału ludzi. W dalszym ciągu wymaga to również budowy specjalnych zakładów oczyszczających uran. Od niedawna prowadzi się badania nad stosami, w których paliwo uranowe jest stosowane w postaci roztworu. Rozwiązanie takie między innymi daje i tę korzyść, że pozwala na łatwiejsze usuwanie produktów rozszczepiania. W wypadku jednak wykorzystywania na wielką skalę energii jądrowej w postaci uruchomiania dużych stosów powstaje nowy problem — usuwania „popiołów radioaktywnych". Można przyjąć, że w stosie pracującym z mocą 1000 kW powstaje 6.10^{15} atomów promieniotwórczych w sekundzie. Sprawia to, że po dłuższym okresie pracy stos taki pod względem promieniowania jest równoważny 2 tonom radu. Oblicza się, że ok. roku 2000 produkcja dzienna izotopów promieniotwórczych wyniesie ponad 3 tony dziennie. Już w chwili obecnej dyskutuje się sposoby usuwania ich w celu zabezpieczenia ludzi przed skutkami promieniowania. Na przykład jeden z projektów przewiduje roztwarzanie tych izotopów w wodzie, wykonyw nie bloków betonowych przy użyciu tej wody i topienie ich w morzu, wtóre zaś, po przejściu przez system chłodzący staje się radioaktywna i jest niebezpieczna dla ludzi obsługujących stos. Nowe rozwiązania idą w kierunku chłodzenia stosów ciekłymi metalami, na przykład stopionym sodem, sodem z potasem, bizmutem z ołowiem itp., w obiegu zamkniętym.

Nowa technika wymaga więc rozwiązania wielu niespotykanych dotychczas zagadnień technicznych. To z kolei nasuwa wniosek, że dla racjonalnego wykorzystania energii atomowej konieczna jest współpraca wszystkich krajów, oraz wzajemna wymiana doświadczeń.

Niezależnie od elektrowni istnieją również inne projekty zastosowania energii atomowej w technice. W roku ubiegłym spuszczono na wodę pierwszą łódź podwodną o napędzie atomowym. Moc stosu jej nie jest ujawniona, wiadomo tylko, że szybkość jej pod wodą wynosi 20 węzłów, oraz że może przepłynąć bez potrzeby wynurzania się i odnawiania paliwa 50.000 km. Próba ta wskazuje na to, że w przyszłości wielkie statki transoceaniczne będą wykorzystywać do napędu energię jądrową. Dałoby to możność zwiększenia mocy maszyn i przebywania znacznych przestrzeni bez potrzeby zaopatrywania się w paliwo, oraz przypuszczalne sumaryczne obniżenie kosztów paliwa. Wynaje się natomiast, że stos atomowy nie będzie mógł być wykorzystany w pojazdach mechanicznych jako źródło energii dla silników trakcyjnych. Ze względu bowiem na szkodliwe dla organizmów żywych promieniowanie — stos musi być osłaniany kilkumetrową warstwą ochronną betonu lub innego materiału. Z tej racji przypuszcza się również, że nie znajdzie on zastosowania w lotnictwie do napędu samolotów.

Istnieje natomiast projekt lokomotywy o napędzie atomowym. Zawierałaby ona 9 kg U-235, moc turbiny parowej wynosiłaby ok. 5000 kW, długość lokomotywy 48 m, waga 285 ton (w tym osłona 200 ton). Osłona stosu miałaby składać się z szeregu grubych pancerzy stalowych, zarówno dla ochrony przed promieniowaniem, jak też w celu zabezpieczenia stosu na wypadek katastrofy. Specjaliści jednak uważają, że mimo tych środków zapobiegawczych istnieje zbyt duże niebezpieczeństwo budowy takiej lokomotywy. Na ogół przeważa zdanie, że w przyszłości budować się będzie koleje elektryczne zasilane ze stałych elektrowni atomowych.

Jako przykład zupełnie nowych zagadnień powstających przy eksploatacji stosów atomowych może służyć następujący fakt. W pewnym stosie nastąpiła awaria polegająca na tym, że przez część rurek systemu chłodzącego przestała płynąć woda. Na skutek wysokiej temperatury rury uległy stopieniu i produkty rozszczepienia przedostały się do wody. Stos natychmiast zatrzymano. Należało go jednak prędko rozebrać, ponieważ groziło mu zapalenie się (w atmosferze tlenu w wyższej temperaturze uran łatwo się zapala). Do rozbiórki użyto 70 ludzi, z których każdy mógł pracować przy niej zaledwie kilka minut. Następnie wyciągnięto stos dźwigiem i przewieziono na pustynię gdzie został zakopany. Aktywność wody chłodzącej, którą spuszczono do specjalnego zbiornika wynosiła ok. 10.000 Curie.

Innym problemem jest na przykład zabezpieczenie stosu przed wybuchem. W trakcie pracy stosu powstają tlen i wodór, tworząc mieszaninę piorunującą. W celu usunięcia tych niebezpiecznych produktów zachodzi potrzeba stosowania specjalnych środków katalitycznych.

Dalszym specjalnym zagadnieniem jest sprawa chłodzenia stosu. Zwykła woda po pierwsze niezbyt dobrze nadaje się do tego celu, po-

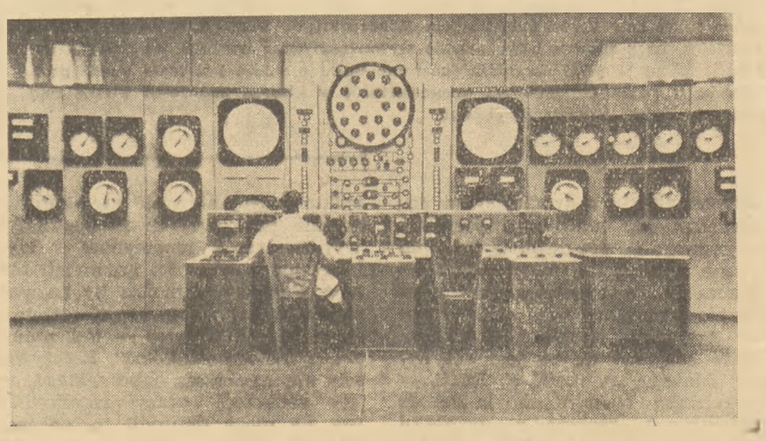

Centralna część pulpitu sterowniczego elektrowni atomowej.

Istnieje natomiast projekt lokomotywy o napędzie atomowym. Zawierałaby ona 9 kg U-235, moc turbiny parowej wynosiłaby ok. 5000 kW, długość lokomotywy 48 m, waga 285 ton (w tym osłona 200 ton). Osłona stosu miałaby składać się z szeregu grubych pancerzy stalowych, zarówno dla ochrony przed promieniowaniem, jak też w celu zabezpieczenia stosu na wypadek katastrofy. Specjaliści jednak uważają, że mimo tych środków zapobiegawczych istnieje zbyt duże niebezpieczeństwo budowy takiej lokomotywy. Na ogół przeważa zdanie, że w przyszłości budować się będzie koleje elektryczne zasilane ze stałych elektrowni atomowych.

Niezależnie od opisanych wyżej możliwości zastosowania energii atomowej istnieje inna, związana z nią ważna dziedzina techniki. Do pracującego stosu można wprowadzać próbki dowolnych pierwiastków, które pod wpływem naświetlania neutronami stają się promieniotwórcze. Uzyskane w ten sposób izotopy mają zastosowanie jako tanie źródła promieni beta i gamma, służą do badania procesów fizjologicznych, jako środki lecznicze w medycynie, są wreszcie stosowane jako narzędzie w wielu badaniach naukowych i przemysłowych. Wymienimy tu choćby takie tylko zastosowania jak bezkontaktowy pomiar grubości blach, defektoskopia przy użyciu promieni gamma, badanie ścieralności różnych powierzchni, badanie dyfuzji w metalach, zastosowanie ich jako indykatorów w badaniu szczelności urządzeń gazowych i wentylacyjnych, przy produkcji włókien sztucznych, przy wzbogacaniu minerałów metodą flotacji, w agrotechnice itp. Jak wynika jednak z publikowanych danych największa część, bo ponad połowa z ogólnej ilości wyprodukowanych izotopów promieniotwórczych, jest zużywana dla potrzeb medycyny. Tam znajdują one szerokie zastosowanie dla potrzeb lecznictwa: dla celów terapii, diagnostyki, przy leczeniu białaczki, chorób tarczycy itp.

Obecnie dopiero wkraczamy w erę energii atomowej. Należy się spodziewać jeszcze wielu rewelacji w tej dziedzinie. Wyraża się przypuszczenie, że w niedługim czasie uda się człowiekowi przeprowadzać również w sposób kontrolowany reakcję termojądrową, tę samą, która dziś stanowi podstawę procesów zachodzących na słońcu i w bombie wodorowej. W ten sposób uzyskano by dalsze ogromne źródła energii.

Na tle przytoczonych wyżej rozważań widać jak ogromne znaczenie ma dla naszego kraju propozycja Związku Radzieckiego odnośnie pomocy dla Polski przy budowie pierwszego w kraju stosu atomowego. Fakt ten ma przełomowe znaczenie dla naszego świata naukowego i technicznego. Za pierwszym stosem będą budowane dalsze siłownie tego typu. W ten sposób energia atomowa w naszym kraju służyć będzie przede wszystkim sprawie pokoju, sprawie elektryfikacji kraju i usunięcia wiekowych zaniedbań w gospodarce narodowej.

Kazimierz Przewłocki

W 10-tą rocznicę uwolnienia Dachau

W związku z dziesiątą rocznicą uwolnienia obozu w Dachau odbył się w Częstochowie na Jasnej Górze uroczysty zjazd księży byłych więźniów obozów koncentracyjnych, w którym obok licznych rzesz duchowieństwa polskiego wzięli również udział księża z Czechosłowacji. Zjazd wyłonił delegację, która złożyła następujący adres na ręce Sekretarza Episkopatu Polski.

Księża — byli więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych, zebrani w pielgrzymce na Jasnej Górze u stóp Matki Najświętszej, w dniach 27 i 28 kwietnia rb. w dziesiątą rocznicę cudownego uwolnienia z Dachau:

Złożyliśmy korne dzięki Bogu i Przeczystej Dziewicy Królowej Polski z Jasnej Góry za opiekę w czasie długoletniej kaźni w hitlerowskich miejscach śmierci, jak również za nadzwyczajną łaskę okazaną nam w ostatnich dniach niewoli. Mając wśród siebie Dostojnego Włodarza Diecezji Częstochowskiej, zwracamy się z najserdeczniejszymi uczuciami synowskiej wierności do swoich Diecezjalnych Pasterzy i do całego Episkopatu Polski.

Oderwani gwałtem zaborcy od swoich ołtarzy i parafian, mimo wieloletniej kaźni w obozach śmierci, dochowaliśmy wierności Bogu, Kościołowi i Narodowi Polskiemu. Wielu z naszych Współbraci Kapłanów pozostało w postaci prochów krematoryjnych na niewdzięcznej ziemi niemieckiej.

My — którzyśmy ocaleli — wróciliśmy do odrodzonej Ojczyzny, by nadal niezawodnie służyć Kościołowi Katolickiemu i Ludowi Polskiemu w jego wielkim trudzie nad odbudową wartości moralnych i materialnych i by naszą postawą nie dopuścić do powtórzenia się nieludzkich czasów sprzed dziesięciu laty.

Umocnieni błogosławieństwem Jasnogórskiej Pani, Królowej Kapłanów wchodzimy z tymi postanowieniami w drugie dziesięciolecie naszej rozbudowującej się Ojczyzny.

Komitet Organizacyjny:
O. Archanioł Kapucyn
Ks. Józef Biały
Ks. Józef Brzenska
Ks. Stefan Ceptowski
Ks. Szczepan Domagała
Ks. Stanisław Dulczewski
Ks. Józef Dydymski
Ks. Feliks Gruze
Ks. Grzegorz Handke
Ks. Piotr Jaroszek
Ks. Jan Kabziński
Ks. Augustyn Kańtoch
Ks. Bolesław Kunka
Ks. Dominik Maj
Ks. Stanisław Miara
Ks. Aleksander Miszczuk
Ks. Maciej Namysło
Ks. Antoni Owczarek
Ks. Stanisław Owczarek
Ks. Tomasz Pacuła
Ks. Antoni Paduch
Ks. Tadeusz Rulski
Ks. Alojzy Sławski
Ks. Leon Stępniak
Ks. Aleksander Szymkiewicz
Ks. Paweł Szynwelski
Ks. Franciszek Trochonowicz
Ks. Konrad Wedelstaedt
Ks. Zygmunt Wiecki
Ks. Feliks Włodarczyk
Ks. Franciszek Zawisza

Oświadczenie Episkopatu

J.E. Ks. Biskup Zygmunt Choromański, Sekretarz Episkopatu odczytał i wręczył delegacji następujące oświadczenie:

Pielgrzymka Wasza, którą odbyliście na Jasną Górę w dziesiątą rocznicę oswobodzenia z niemieckiego obozu koncentracyjnego w Dachau, przypomina nam czasy męczeństwa i bohaterstwa Narodu polskiego i wraz z nim tysięcy kapłanów polskich. Śmierć Seniora Episkopatu, Arcybiskupa Nowowiejskiego, Biskupa Wetmańskiego, Biskupów Kozala i Gorala oraz O. Kolbe i blisko 2 tys. braci kapłanów, ogrom cierpień, jakie w tamtych latach danym Wam było przeżyć, świadczyć będą zawsze o postawie Kościoła Katolickiego w Polsce w tym tragicznym dla Narodu okresie i o tej prawdzie, że człowiek dobry, nawet pokonany, zwycięża jako przedstawiciel ogólnego interesu ludzkości.

* * *

Kiedy mówimy o tragicznych doświadczeniach przeszłości, nie możemy nie zabrać głosu w sprawie, która dziś znowu niepokoi całą ludzkość. Uzasadniony ten niepokój rodzi się z faktu, że są na świecie siły, które istniejące konflikty międzynarodowe gotowe są rozwiązywać na drodze wojny, tym bardziej nieludzkiej, że prowadzonej przy użyciu broni masowego zniszczenia.

W tej sprawie Episkopat Polski — zgodnie z posłannictwem Kościoła — uważa za swój obowiązek jeszcze raz stwierdzić, że broń masowej zagłady winna być bezwzględnie zakazana przez prawo międzynarodowe, a wszelkie sprawy między narodami winny być rozwiązywane na drodze wzajemnego porozumienia w duchu sprawiedliwości.

Papież Pius XII w swym orędziu wielkanocnym ponownie wypowiedział się w sposób wiążący dla sumienia chrześcijańskiego przeciwko wojnie wzywając, aby najnowsze odkrycia w dziedzinie termojądrowej zostały wykorzystane dla dobra ludzkości.

Nie możemy też pozostać obojętni wobec niebezpieczeństwa, jakie niesie dla naszej Ojczyzny i pokoju podniecanie tendencji tych Niemców, którzy są rewizjonistycznie nastawieni do Polski.

Episkopat Polski — wraz z całym narodem — stoi na stanowisku nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie, w jedności Narodu i umacnianiu jego obronności upatruje bezpieczeństwo naszego kraju, a jego potęgę i rozwój pragnie oprzeć na niewzruszonych ideałach religijno-moralnych.

* * *

Wasza martyrologia w niemieckich obozach koncentracyjnych jest przestrogą dla całej ludzkości przed powtórzeniem się okrucieństw wojny i zarazem posiewem, z którego wzrasta powszechna wola odwrócenia grożących znowu niebezpieczeństw.

Posłannictwem naszym jest szerzyć Prawdę, Miłość i Pokój.

W imieniu Episkopatu:
Biskup
Zygmunt Choromański
Sekretarz Episkopatu
Warszawa, dn. 30.IV. 1955 r.

Czas Austrii

Austria, pierwszy wolny kraj, który padł ofiarą hitlerowskiej polityki agresji, musi być uwolniona spod niemieckiego panowania... Podpisane rządy oświadczają, że pragnieniem ich jest przywrócenie wolnej i niepodległej Austrii". 30 października 1943 roku, gdy napięcie zmagań wojennych znajdowało się jeszcze u zenitu, wszystkie rozgłośnie sprzymierzonych wysłały w świat słowa deklaracji trzech wielkich mocarstw, określającej ich powojenne cele. Każdy Austriak wyniósł z nich nadzieję i oczekiwanie niepodległego jutra — radosne oczekiwanie, które roztańczyło Wiedeń w dniu wejścia radzieckich żołnierzy. Co prawda kraj podzielono tymczasowo na cztery strefy zarządu wojskowego, ale to miało trwać najwyżej kilka miesięcy...

Miesiące jednak przedłużały się nieskończenie. Dziwne poczucie sprawiedliwości zachodnich mężów stanu kazało im szukać porozumienia z wszystkimi partnerami Osi — zawarto traktat pokoju z Włochami w 1947 roku, separatystyczny i nielegalny traktat z Japonią w 1950, wreszcie udzielono kadłubowej Republice Federalnej przywilejów wątpliwej co prawda, ale bardzo reklamowanej suwerenności. Jednak zagwarantowana czterostronnym traktatem państwowym niepodległość pierwszej ofiary Hitlera była niepotrzebna — a nawet niewygodna — dla polityków „wolnego świata".

Na każdej ważniejszej konferencji wielkich mocarstw pojawiała się paląca i ważna sprawa Austrii. Na każdej też konferencji partnerzy zachodni różnymi sposobami, wynajdując nieistotne często rozbieżności — wsuwali ją pod zielone sukno. Zorientowany prozachodnio rząd austriacki apelował bezskutecznie do swych możnych sojuszników.

Osiem lat trwały jałowe dyskusje prowadzone różnymi kanałami stosunków międzypaństwowych; trwałyby może i następne lat osiem, gdyby inicjatywy nie wziął w swoje ręce rząd, który wyraża sympatię swego narodu do narodu Austrii. W pierwszej połowie kwietnia Związek Radziecki zaprosił kanclerza Raaba do przedyskutowania problemu traktatu państwowego. I okazało się, że nie ma żadnych nieprzezwyciężonych rozbieżności; okazało się, że niepodległość tego kraju jest bliższa niż mogło się wydawać.

„Wiedeń, radosny i roześmiany, zgotował gorące, ostentacyjne powitanie kanclerzowi Raabowi, powracającemu z Moskwy z najpiękniejszą z obietnic, której Austriacy mogli spodziewać się po rozmowach w Moskwie. „Austria będzie wolna" oświadczył on wczoraj. „Odzyskamy w całości naszą ziemię ojczystą". Że człowiek tak zrównoważony i ostrożny nie zawahał się okazać pełnego optymizmu, dowodzi nie tylko tego, jak daleko w swym porozumieniu doszli w przeciągu trzech dni kierownicy polityki radzieckiej i austriackiej, ale i zadowolenia, które porozumienie to wywołało u obu stron" — stwierdza obiektywnie „Le Monde".

Związek Radziecki poczynił szereg ważnych koncesji — zrezygnował z praw do zarządu żeglugą na Dunaju, zgodził się na przyjęcie pozostałych reparacji w towarach, a nie w dolarach, postanowił ułaskawić lub wydać prawie wszystkich austriackich przestępców wojennych, wreszcie — co najcenniejsze — zgodził się, iż Austria będzie neutralna z suwerennej woli zadeklarowanej przez jej rząd przy podpisywaniu traktatu, a nie „neutralizowana" umową mocarstw, co uszczuplałoby jej niezawisłość.

Rzecz pozornie paradoksalna, że to właśnie najważniejsze ustępstwo ZSRR wzbudziło zarazem niepokój i irytację wśród mocarstw zachodnich. Pierwszy komentarz wpływowego dziennika amerykańskiego „New York Herald Tribune", pióra znanego specjalisty od spraw niemieckich Coblenza, poświęcony jest w całości tej sprawie. Złośliwie stara się on grać na dumie narodowej Austriaków — „Czyż to nie zabawna rzecz, ta uciążliwa rywalizacja z malutką, neutralną Szwajcarią — los, który oczekuje Austrię w 37 lat po upadku jej iperialnego splendoru". A dalej ostrzega, że nawet ta rywalizacja nie powiedzie się — „Szwajcaria stopniowo zdobywała opinię najbezpieczniejszego miejsca na świecie. To, a także inne czynniki, powodowały ogromny i stały napływ kapitału i lokat... Austria nie może mieć żadnych nadziei na podobny rozwój sytuacji".

Gdzież leży źródło niepokoju mocarstw zachodnich? Niech wyręczy nas w odpowiedzi cytowany już „Le Monde". „Wydaje się, że w razie uregulowania problemu austriackiego nie będzie już można poddawać w wątpliwość zgody Rosjan na kompromis i w konsekwencji odwlekać skonfrontowania poglądów Wielkiej Czwórki na problemy europejskie... Prawdą jest również, że precedens traktatu austriackiego może mieć fascynujący wpływ na Niemców, pragnących zjednoczenia. Czy, z chwilą tą, Niemcy, porównując korzyści wynikające z porozumień paryskich z korzyściami, które daje formuła austriacka, nie pokusiłyby się postawić samej kwestii remilitaryzacji, na którą wyraziły zgodę, pod znakiem zapytania?"

Ten ton dominuje też w innych pionach zachodnio-europejskich. Wszystkie wielkie dzienniki szwajcarskie mówią o ogromnym wrażeniu w Niemczech, „mimo, że koła oficjalne nie przyznają się do tego". Niewątpliwie szeroki front antymilitarystyczny znajdzie silny bodziec do działania w kierunku zjednoczenia Niemiec i nie wiązania się z żadnym blokiem wojskowym. Niewątpliwie też, używając słów „New York Times", „sytuacja rządu Adenauera nie jest godna zazdrości w obliczu ostatnich, ważnych wydarzeń".

W ponurym okresie zimnej wojny, kiedy polityka państw atlantyckich utrąca każdą prawie możliwość porozumienia, inicjatywa Związku Radzieckiego okazała się nadspodziewanie owocna: dokonały się bowiem w jej wyniku dwa ważne fakty. Pierwszy, to — zacytujemy jeszcze raz „New York Times" — „potężny wyłom we froncie zimnej wojny". Drugi, to — bezsporne udowodnienie tezy, iż każdy problem międzynarodowy — wielki czy mały — prosty czy zawiły — da się rozwiązać w sposób pokojowy; i nie tylko pokojowy — w sposób, spełniający pragnienia i postulaty zainteresowanego narodu. A że tak się stało, dowodzi żywiołowy entuzjazm narodu austriackiego, entuzjazm zrozumiały szczególnie dla nas, wieki całe pozbawionych niepodległego bytu.

Pozytywne perspektywy rozwiązania jednego z najważniejszych problemów europejskich nabierają symbolicznego znaczenia dzisiaj, gdy stojmy u kresu pierwszej — jakże smutnej — dekady powojennego świata. I dobrze się chyba zdarzyło, że nowa dekada otwiera się tym właśnie długo oczekiwanym rozwiązaniem.

STEF.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W wa Marszałkowska 3/5
Zam. nr 940.
B-6-3925.

P0166811

ZBIGNIEW LASKOWSKI

WROCŁAW

Wrocław to miasto, w którym mimo czterystukilometrowej odległości od morza nad ulicami unoszą się mewy; ich krzyk miesza się z gwarem przekupniów na ulicy Piaskowej, sprzedających bibułkowe kwiaty, dodaje życia leniwie płynącej Odrze, rozbija ciszę Ossolineum. Miasto kontrastów i niespodzianek: obok renesansowych kamieniczek — szpetne pudła z XIX i XX w., obok starych kamienic czynszowych — nowoczesne domy, wody kanałów, pola gruzów...

Prace budowlane skupiają się obecnie w śródmieściu Wrocławia. Urbaniści głowią się nad rozwiązaniem zagadnień dotyczących obszarów — bagatela! — około 850 ha, w których na dodatek występują powiązane ze sobą wszystkie elementy: zabudowa nowoczesna miesza się z historyczną, zabytkowe dzielnice są zarazem ośrodkiem handlowym i komunikacyjnym miasta itp. W centrum Wrocławia koło PDT, placu Tadeusza Kościuszki i ulicy jego imienia rozpoczęto budowę nowoczesnej dzielnicy mieszkaniowej.

Foto K. Najdenow

Ruiny wrocławskie mają też swoją historię. Gdy wojna jest już właściwie przegrana (23 stycznia 1945 r.) — Wrocław zostaje ogłoszony twierdzą. Miasto i ludzie mają zostać poświęceni dla beznadziejnej próby ratowania Hitlera. Zamiast 650 tysięcy przedwojennych mieszkańców, w murach Wrocławia schroniło się wówczas 1,2 miliona osób. Hitlerowski dowódca twierdzy Obersturmbahnführer Hanke każe rozstrzelać burmistrza, sprzeciwiającego się niszczeniu miasta, a zwłoki wrzucić do Odry. Ten sam Hanke umieszcza swoją kwaterę w piwnicach Biblioteki Uniwersyteckiej i wydaje rozkaz wysadzenia jej w powietrze, aby gruzy umocniły sklepienia. Wobec groźby pożaru 300 tysięcy książek zostaje przeniesionych do kościoła św. Anny, gdzie później również spłoną. 100 tysięcy żołnierzy obsadza ulice i broni się tą samą metodą: burząc domy i tworząc schrony w piwnicach. Gdy zaskakujące uderzenie Armii Czerwonej zmusza ich do odwrotu, palą opuszczane dzielnice. Tak m. in. uległy ruinie południowa i zachodnia część Wrocławia, zniszczone w 95 proc.

W kwietniu, gdy w ostatnich dniach beznadziejnej walki lotnisko zostało odcięte, w ciągu paru godzin ewakuowano jeszcze żywą, piękną dzielnicę w śródmieściu, wysadzono ją w powietrze i spędzając do pracy ludność i dziesiątki tysięcy więźniów obozu z Karłowic (tu m. in. przeżywali powtórnie gehennę wojny wywiezieni mieszkańcy Warszawy) pod obstrzałem artylerii i samolotów radzieckich wybudowano nieużyteczne w tamtych warunkach bojowych lotnisko długości 800 m — dzisiejszy Plac Grunwaldzki.

Dopiero 8 maja zaprzestano ognia. Na przestrzeni 180 km kw. w ruinie leżało 19 tysięcy budynków, urządzeń fabrycznych; komunikacja i sieć kanalizacyjna nie istniały, 700 km ulic zawalonych było gruzem. Nie było wody. Wciąż trwały jeszcze pożary. Nie było ani jednego domu, w którym ocalałby dach i oszklenie. Pozostała tylko 1/3 budynków i to częściowo zniszczonych. Zniszczony w 68 proc. Wrocław stracił 250 tysięcy izb mieszkalnych. Obliczano, że z gruzów można by ułożyć wał o wysokości 1 m, szeroki na 1 km, a długi na 8 km. To miasto rzeki i kanałów (w granicach Wrocławia płynie 26 km Odry), zwane żartobliwie miastem stu mostów, straciło 27 mostów.

Wrocław był symbolem stanu, w jakim zastaliśmy Ziemie Zachodnie. Ponad 30 miast w województwie wrocławskim było zniszczonych w 50 proc. Gdzie indziej nie było lepiej. Głogów — 95 proc., Szczecin — 50 proc., Kołobrzeg — 80 proc. zniszczeń... Ziemie Odzyskane były dwukrotnie bardziej zniszczone niż pozostała część Polski. W miastach leżało w ruinach 150 tysięcy budynków (40 proc.), spośród 11 tysięcy km torów nie nadawało się do użytku 7 tysięcy km, nie istniało 69 kilometrów (!) mostów. Przemysł węglowy stracił 42 proc. swoich zdolności produkcyjnych, tekstylny — 70 proc., energetyczny — 65 proc. (a to, co zostało, unieruchomione było przez brak komunikacji), na wsi zaminowano 3,5 mln. ha (1/3 całej powierzchni), zniszczono 124 tysięcy zagród, pogłowie zwierząt domowych spadło o 95 proc. — cyfry można by mnożyć. Trzeba o tym pamiętać, by uświadomić sobie ciężar zagadnienia.

Już w lipcu 1945 r. wystawiono „Halkę" w Operze Wrocławskiej, w sierpniu pojawił się na ulicach Wrocławia pierwszy tramwaj, we wrześniu rozpoczął pracę Pafawag w listopadzie ruszyły wykłady na Uniwersytecie i Politechnice, pracowało 38 szkół średnich.

„Do roku 1954 odbudowano około 30 tysięcy izb mieszkalnych, przeprowadzono kapitalne remonty ponad 60 tysięcy izb, mamy ponad 600 km czynnej sieci wodociągowej i 511 km sieci kanalizacyjnej... W 53 szkołach podstawowych uczy się około 32 tysięcy dzieci, w 10 szkołach ogólnokształcących — 5 tysięcy młodzieży, w 38 szkołach zawodowych — około 8 tysięcy młodzieży... Mamy dwa muzea, około 160 świetlic i domów kultury, 7 szkół artystycznych, 28 punktów bibliotecznych, z około 120 tysiącami tomów i 88 bibliotek związkowych... Odbudowaliśmy i uruchomiliśmy ponad 300 większych zakładów pracy..." — czytaliśmy w odezwie przedwyborczej Miejskiego Komitetu Frontu Narodowego.

300 zakładów pracy — wśród nich na czoło wysuwa się, oczywiście, znany na całą Polskę Pafawag, wyrabiający różnorakie wagony kolejowe (z których wiele wędruje na eksport), a nawet zestawy pociągów elektrycznych. Jedyna w Polsce wielka fabryka śrub, wytwórnia wodomierzy (też zaopatrująca całą Polskę), wytwórnia sztucznego włókna, fabryka nawozów sztucznych (jej produkcję zwiększyliśmy pięciokrotnie w porównaniu z wydajnością w okresie hitlerowskim), wytwórnia obrabiarek (znów eksport), i wiele fabryk, wytwórni i zakładów o innych specjalnościach. — Wśród nich np. zakłady M-5 produkujące maszyny elektryczne — obecnie zajmują się wybudowaniem największego polskiego turbogeneratora o mocy 25 megawatów. Mówiąc inaczej: o mocy 25 milionów watów, albo: maszyny, która wystarczyłaby z górą za pół elektrowni wrocławskiej. W sprawach produkcji energii elektrycznej wrocławianie mają jeszcze jeden atut w ręku: w pobliżu miasta, w Czechnicy, powstaje z pomocą CSR największa na Dolnym Śląsku elektrownia, której rozruch przewidziany jest 22 lipca.

Z elektrycznością dobrze — ze światłem gorzej Wieczorem Wrocław jest ciemny. To miasto rozciągające się na przestrzeni 175 km kw. — dużo większe od Warszawy bez terenów przyłączonych — nie może sobie jeszcze dać rady z uporządkowaniem wszystkich ulic. Te przestrzenie właśnie, wielkość zniszczeń i fakt, że nowe dzielnice mieszkaniowe budowano dotychczas przeważnie na przedmieściach, sprawiają, że odbudowa Wrocławia nie jest tak łatwo uchwytna, jak np. odbudowa Warszawy, a przecież nie powstaje tu mniej domów niż w Gdańsku czy Szczecinie. Samo odgruzowanie miasta to problem olbrzymi. W tym roku po kilkuletnim zastoju podjęto je od nowa; dziś w dziesięciolecie wyzwolenia to jedna z zasadniczych akcji. Gazety piszą o półmilionowej cegle wydobytej w trwającym obecnie „społecznym odzysku cegieł", a wrocławianie poświęcają wolne popołudnia i niedziele na odgruzowywanie. Jak kilka lat temu w Warszawie.

I jak w Warszawie: mieszkania, mieszkania, brak mieszkań dla wszystkich spośród 370 tysięcy ludności. Wprawdzie teraz i w centrum miasta, niedaleko opery, koło PDT buduje się wrocławski MDM: „Kościuszkowską Dzielnicę Mieszkaniową", wprawdzie ZOR oddaje rocznie do użytku 3—4 tysiące izb — ale to wciąż mało dla miasta, które pretenduje w Polsce do palmy pierwszeństwa w przyroście naturalnym: 28 promil.

I jeszcze jeden problem — remonty. Stare kamienice po zniszczeniach wojennych albo wymagają stałych napraw, albo po prostu już się rozlatują, zwiększając liczbę petentów w Urzędzie Kwaterunkowym. Poważnym kłopotem stał się grzyb, który korzystając ze zniszczeń wilgotnego klimatu wkradł się do wielu mieszkań.

To miasto, tętniące nowoczesnym przemysłem, współczesną problematyką i trudnościami, jest zarazem pełne historii. Gdy zajdziesz do „Domu Książki" na Rynku pod nr 60, to wiedz, że numeracja pochodzi jeszcze z okresu, gdy po najeździe Tatarów i zniszczeniu miasta wytyczano je na nowo według charakterystycznej szachownicy miast opartych na prawie niemieckim. Na Ratuszu drzwi parterowej sali Rady Miejskiej noszą ślady siekier tłumu rzemieślników, który podczas „powstania tkaczy" w 1418 r. wdarł się do Ratusza protestując przeciw wyzyskowi bogatych rajców. Idźcie nad Odrę do Muzeum Śląskiego. Dostaniecie tam bilet z „kontramarką" i na wystawie dziesięciu wieków Śląska, pełnej wyczerpujących objaśnień, dowiecie się więcej.

Koci Zaułek, Siedmiu Kół, Zaułek Ruski (tędy szły mury miasta), Kurzy Targ, Kiełbaśnicza, Nożownicza, Pokutnicza — te ulice mają swoją starą tradycję. Na Rynku pod nr 17 natrafiono w piwnicach na granitowe kolumny romańskie! Tego typu piwnica znana jest w Krakowie, sławna jest również piwnica w Pradze Czeskiej, do której zjeżdżają się turyści — wrocławska ma być trzecim takim zabytkiem w Europie.

A jednocześnie Stare Miasto tętni życiem. Wiekowy Rynek jest dziś ośrodkiem handlowym i usługowym I to jest ten wielki kłopot, jaki musieli rozwiązać i dalej rozwiązują architekci. Warszawska Starówka leży na uboczu, jest ponadto kilkunastokrotnie mniejsza, kompleks wrocławskiego starego śródmieścia ma 148 ha i leży w centrum. Tu życie miasta skupia się na wąskich ulicach, którymi z trudnością jeżdżą tramwaje. Dlatego wiele ulic z ruchem jednostronnym, stąd ścisła rekonstrukcja obejmuje wyłącznie Rynek i Plac Solny, a tam, gdzie to możliwe, ulice będą poszerzane i dostosowane do nowych potrzeb.

Najbliższe plany zabudowy obejmują obszar wielkiego śródmieścia od dworca aż poza Odrę do ulicy Nowowiejskiej. Tu Wrocław jest inny: budowany szeroko, z rozmachem, arterie przelotowe mają po 60—80 m szerokości. Blisko Odry będzie się skupiać życie kulturalno - społeczne. Tu mieści się w tej chwili większość zakładów naukowych Wrocławia, tu wokół Placu Grunwaldzkiego powstały w roku ubiegłym nowe domy akademickie, w których mieszka 3 tysiące studentów. Wrocław to potężny ośrodek akademicki: 200 katedr na wyższych uczelniach, Politechnika, Uniwersytet, Wyższe Seminarium Duchowne, Wyższe Szkoły: Rolnicza, Plastyczna, Muzyczna, Ekonomiczna, Wychowania Fizycznego, Akademia Medyczna, Wieczorowa Szkoła Inżynieryjna — 18.800 studentów w różnokolorowych czapkach wędruje ulicami miasta. Wciąż powstają nowe katedry i zakłady.

A dalej na wschód — teren wystawowy, Hala Ludowa, Park Kultury. Na brak rozrywek wrocławianie nie uskarżają się specjalnie. Miasto ma nie tylko 12 kin, ale Operę, Orkiestrę Symfoniczną, Teatr Polski, Kameralny, Młodego Widza, Teatr Satyryczny; próbują sił dwa kabarety. We Wrocławiu mieści się również Teatr Żydowski z Idą Kamińską (który wybiera się do Paryża), samorzutnie powstała jako spółdzielnia i gra przy pełnych kompletach widzów (podobnie jak i inne teatry) Operetka, z którą — nie zaplanowana! — mają teraz kłopot władze miejskie i Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Zdawałoby się, że w tak silnym ośrodku kulturalnym — jest przecież jeszcze rozgłośnia radiowa i świetnie rozwijająca się Wytwórnia Filmów Fabularnych — powinno być silne życie twórcze. Ale artyści uciekają z Wrocławia. Wyjeżdżają literaci, chcą uciekać aktorzy. Brak jest centralnego ośrodka, w którym piłoby się kawę i toczyło dyskusje, do lokalu literatów wieczorem nawet taksówką trudno dojechać, bo kierowca boi sie tego zapadłego kąta; tzw. „Dom Aktora" to brudny hotel w obskurnej kamienicy od lat przeznaczonej na rozbiórkę, bez kuchni, bez wody w pokojach. Zastanawia jednomyślna opinia zainteresowanych o obojętnym stosunku wysokich władz miejskich do bytowych spraw artystów. A przecież żywe, twórcze życie kulturalne w takim ośrodku jak Wrocław powinno im chyba leżeć na sercu.

Dla uspokojenia nerwów dobrze jest pójść nad wolno płynącą Odrę lub któryś z kanałów. Tu właśnie, do portu wrocławskiego — bo Wrocław to również duży ośrodek transportu rzecznego, przez który m. in. przechodzi węgiel do Szczecina, a z powrotem ruda — przybiły 2 tygodnie temu pierwsze barki z NRD, które wozić będą Odrą polski węgiel do Stalinstadt, do największej w NRD elektrowni zasilającej demokratyczny Berlin i okolice.

Tu w rozlewisku rzeki na wyspach Tumskiej i Piaskowej ułatwiających przeprawę powstał Wrocław. Ostrów Tumski był jedną z trzech siedzib książęcych Mieszka I. Pięć lat temu odkopano obronne grodzisko Mieszka. Obok na podgrodziu odnaleziono pozostałości chat z XIII wieku budowanych z belek związanych starym polskim sposobem „na zrąb". Tu, na Ostrowiu Tumskim, Chrobry ustanowił siedzibę biskupstwa śląskiego podległego metropolii gnieźnieńskiej. Tędy szedł odwieczny bursztynowy szlak rzymskich kupców nad Bałtyk, tędy szła stara „polska droga" z Rusi na Zachód, szły towary z Litwy i Rusi, znad Morza Czarnego i Wenecji, Anglii, Skandynawii, Francji, Belgii.

Handel ze Wschodem jest podstawą dobrobytu. Gdy później w 1842 r. powstanie pierwsza kolej żelazna, będzie to kolej do Krakowa. Gdy po pierwszej wojnie światowej Traktat Wersalski oderwał Wrocław od polskiego zaplecza, ruch towarowy na Odrze spadł o połowę, wywóz kolejowy z 204 tys. ton spadł do 115 tys. ton rocznie, obroty handlowe z ziemiami polskimi z 704 mln. na 275 mln. marek. Przemysłowcy niemieccy stwierdzając, że łączność z ziemiami polskimi jest podstawą rozwoju miasta, żądali przyłączenia Poznańskiego do Niemiec. Kroniki niemieckie notowały zjawisko odpływu ludności na Zachód.

Jednym z najwymowniejszych dowodów polskości Wrocławia jest jego architektura. Architekci niemieccy podkreślają jej „inność", rzetelniejsi, jak Dehio czy Griesenbach, wręcz mówią o polskim budownictwie. Oprócz wymownych szczegółów, jak orły polskie na zwornikach sklepień Ratusza, wymownym dokumentem jest budownictwo kościelne. Kościół Bożego Ciała przypomina Kościół Dominikanów w Krakowie, na kościele św. Doroty wzorowano się częściowo przy odbudowie Katedry Warszawskiej Kościoły powstałe w okresie XII—XIV w. przejawiają zarówno w rzutach, jak i w detalach charakterystyczne cechy polskiego budownictwa.

Szczególnie cenna jest Katedra Wrocławska, której budowę rozpoczęto w latach 1242—44. Katedrę stanowiącą przykład pięknego gotyku ukończono w połowie XIV w. Zniszczona w czasie działań wojennych, została wspaniale odbudowana. Otoczenie Katedry — Ostrów Tumski, siedziba Kurii — jest dziś jedną z najpiękniejszych dzielnic Wrocławia. Piękne stare kamieniczki, odnowione całkowicie, świadczą o tym, jak będzie wyglądał Wrocław po ukończeniu prac rekonstrukcyjnych. Ciche zakątki ulicy, zieleń trawników sprawiają, że przychodzi tu oglądać zabytki i odpocząć wielu wrocławian, dla których Ostrów stał się najpiękniejszym zakątkiem miasta i symbolem jego odbudowy.

Zbigniew Laskowski

Katedrę znamy zwykle ze zdjęć przedstawiających jej fronton. Spójrzmy na nią od strony placu Katedralnego. Za wielkim ołtarzem znajdują się trzy piękne kaplice. Najstarsza, Najświętszej Maryi Panny, wybudowana w XIV wieku, umieszczona jest na osi podłużnej katedry na wzór kaplicy mariackiej w Katedrze Wawelskiej. Dwie boczne kaplice należą do najpiękniejszych zabytków barokowych.

Foto K. Gregerowa

Podróżny, który wyjdzie z dworca głównego, niech się nie zraża szpetnym otoczeniem. Trafił na najbrzydszą chyba część miasta. Trzeba pójść dalej, obejrzeć stare śródmieście, piękny Rynek pełen zabytkowych kamienic i wąskich uliczek. W tym mieście tradycja sąsiaduje z dniem dzisiejszym — za Rynkiem Odra, zieleń, szerokie nowoczesne arterie. Nie bez kozery Wrocław zwany jest „miastem stu mostów".

Foto K. Najdenow

OBOWIĄZEK TWÓRCZOŚCI

ZYGMUNT LICHNIAK

I. FELIETONOWE VOTUM SEPARATUM

O KULTURZE — jak w tuwimowskim wierszu o zieleni — można nieskończenie. Toteż pisano na ten temat „mnóstwo za bardzo". Wiele, bardzo wiele z tych rozważań kulturalnych ma wartości prawie wyłącznie makulaturalne. Zwłaszcza w publicystyce polskiej ostatniego okresu, który najsłuszniej, choć nie najpiękniej nazwać trzeba okresem histerii meteorologicznej. Rozprawia się z PHIM-owską żarliwością i brakiem precyzji o różnych stopniach, nawrotach odwilży czy przymrozku, zapominając, że prawda ciągłego odradzania się i ciągłego owocowania natury wpisana i uzależniona jest nie od tych czy innych komunikatów lub prognoz pana Wicherka, ale od wiecznego i mądrego prawa dialektyki jesieni, zimy, wiosny i lata. W tym gadaniu o przymrozku i odwilży tak zawężono sprawy, że chciałoby się zaproponować: „Panowie, wśród was jest duszno. Wyjdźcie na spacer, albo skopcie swoje działki. Na dworze właśnie znowu wiosna..."

Czy posłuchają? Raczej nie. Zacietrzewienie meteorologiczne trwa. Ktoś tam w PIHM-ie się pomylił i mnóstwo — czasami nawet poważnych — ludzi skacze sobie do oczu w przekonaniu, że bronią istnienia kosmosu lub zwalczają grozę unicestwienia ludzkości, a w istocie albo marginalia biorą za principia, albo w pozornych generaliach załatwiają porachunki między sobą i uwierającą ich historią. Jedyny profit z tej całej wykrzykiwaniny jest ten, że paru mądrych ludzi w mądry sposób przypomniało kilka starych prawd. Ale ileż oprócz tego odtrąbiono gromkich pobudek, patetycznych wezwań, niemal melodramatycznych ostrzeżeń czy deklamacyjnych zapewnień. Słuchać hadko — jak mówi opanowany pan Longinus Podbipięta. Ileż żab podstawiło nogi tam, gdzie konie kują! Ileż much — jak w bajce Ezopa — wracając z wołami roboczymi po pracy, mówiło: uff! aleśmy się naharowali! Przykry widok. Nie jestem wątrobiarzem, ale zdegustowało mnie bardzo to przetrzepywanie zakurzonych dywaników dokonywane przez wielu z miną zaklinających przyszły los kultury demiurgów.

Niepotrzebnie zrobiono z igły widły, z normalnego falowania temperatury kulturalnej — kataklizm lub wybuch nowoodkrytego Wezuwiusza.

Nie chcę być ptakiem, który własne gniazdo kala, ale przykro mi, że i na tych łamach, które — chociaż ostatnio rzadziej na nich goszczę — uważam za swój dom, również bełkotliwie wezbrał strumyk jakiejś Wielkiej Dyskusji (?), również gromko wygłaszano z okazji meteorologicznego galimatiasu wzruszonym dyszkantem patetyczne truizmy... Proszę pamiętać, że jeśli idzie o takie rozhowory — ja byłem przeciw.

A piszę o tym wszystkim — w świadomie felietonowo potraktowanym zastrzeżeniu wstępnym — nie po to, aby się dąsać czy naśmiewać z kogokolwiek, lecz po to, by zaznaczyć, że niemieszanie się w Wielką Dyskusję (?) to nie unik, ale wybór. Sądzę, że gdzie indziej czają się istotne problemy naszego życia kulturalnego, naszego stosunku do kultury.

II. PROPOZYCJE I PRZYPOMNIENIA

NASZ stosunek do kultury to przede wszystkim nasz sposób pojmowania obowiązku twórczości kulturalnej. Zamiast wdawać się w scholastyczne spory, co jest a co nie jest kulturą, uznajmy za istotniejsze sprecyzowanie naszego wkładu w to, co powszechnie przyjęto traktować jako kulturę. Mówiąc o naszym sposobie pojmowania twórczości kulturalnej mamy na myśli przede wszystkim te cechy charakterystyczne naszej postawy, które są wynikiem katolickich determinantów światopoglądowych. Oczywiście, mimo tak jednoznacznego zdeterminowania postawa ta ulegała i ulega historycznym przekształceniom, bowiem w niezmiennej doktrynie różne epoki historyczne akcentowały w uwarunkowanych swoim czasem interpretacjach różne momenty. Nas interesują tu przede wszystkim ostatnie przekształcenia katolickiego stosunku do obowiązku twórczości kulturalnej, przekształcenia, które mogliśmy i możemy obserwować i przeżywać, a ostatnio także inspirować dzięki danemu nam doświadczeniu historycznemu. Analiza tych przekształceń pozwoli na wykrycie w nich błędu i wyprowadzenie prawidłowej kierunkowej w przyszłość.

Najoczywistszy, niemal prymitywnie jaskrawy błąd jakoby katolickiej postawy wobec obowiązku twórczości kulturalnej polegał na lekceważeniu istotnych inspiracji kulturalnych wynikających z determinantów światopoglądowych. Błąd ten wyrażał się autonomizowaniem zjawisk kulturalnych w sferze interświatopoglądowej. Twórczość kulturalna chciała być czymś anonimowym światopoglądowo. Katolicyzm dla tego typu twórców był albo nietaktem albo archaizmem, w każdym bądź razie — ciężarem. Formą protestu przeciw tej nadmiernej dyskrecji światopoglądowej stał się — u nas zwłaszcza w okresie międzywojennym — katolicyzm głośno deklamowany, katolicyzm snobistycznie, przez przekorę niejako, intelektualnie modny. Legitymował się ortodoksyjną nomenklaturą, czerpał z leksyki Pisma Świętego, wśród „światłych" szermował — nie zawsze ze zrozumieniem — Maritainem, epatował się Mauriac'iem, czy parskał oburzeniem Leona Bloy, a nad maluczkimi potrząsał „Małym Dziennikiem", wierzgał „Koniem na wzgórzu", czy gardłował w ponurych, ciemnogrodzkich mowach ks. Trzeciaka.

Był to błąd lekceważenia istotnych inspiracji katolicyzmu przy wykorzystywaniu całego sztafażu światopoglądowego. Prowadzić to musiało, i w wielu wypadkach prowadziło do wyraźnych sprzeczności między uniwersalistyczną inspiracją naszego światopoglądu a ciasną, zaściankową i partykularystyczną krystalizacją tzw. katolickich postaw wobec obowiązku twórczości kulturalnej.

Oczywiście, pamiętając o tym błędzie pamiętać trzeba i o tym, że nie określał on sytuacji bez reszty. Byli ludzie, były środowiska, których ambicję stanowiło uzgodnienie twórczości kulturalnej z inspiracją światopoglądową katolicyzmu. Ale ci ludzie i ich środowiska ambicje te mogli — rzecz zrozumiała — realizować na miarę swoich ówczesnych uwarunkowań. Mimo to godzi się pamiętać o ich wysiłkach, chociaż z małą obawą o popełnienie wielkiego błędu stwierdzić wypada, że wysiłki te nie zaważyły w sposób zdecydowany na postawie, którą trzeba określić jako charakterystyczną dla większości, a nazwać historycznie postawą autokompromitacji. Oczywiście, autokompromitacji nie doktryny, ale tych, których historia i ich własne lenistwo uczyniło zbyt ubogimi dla podjęcia i korzystania z bogactw katolicyzmu.

III. PRZYPOMNIENIA CIĄG DALSZY

POSTAWA — oczywiście, niezamierzonej, chociaż w pełni własnymi słabościami zawinionej — autokompromitacji stała się dla katolików polskich szczególnie groźna w sytuacji historycznej, która — pozbawiając ich uprzywilejowanej pozycji, jaką stanowił oficjalny ongiś prymat, ba, niemal monopol światopoglądowy — wprowadziła nowe siły, ofensywne siły emulacyjne innego światopoglądu mającego przewagę organizatora i twórcy nowego układu warunków.

Taka sytuacja powstała w wyniku rewolucji socjalistycznej dokonywanej i kierowanej w Polsce Ludowej niemal wyłącznie przez materialistów filozoficznych.

Katolicy — postawieni przez sytuację historyczną w roli szorstko egzaminowanych współtwórców lub przeciwników Nowego — musieli dokonać możliwie rzetelnej rewizji swojego stosunku wobec istotnych inspiracji doktryny i swojej interpretacji wynikających z niej obowiązków. Rewizję taką podjęto. Nie obeszło się bez fochów i obrażonych min u jednych, nie zabrakło i nadmiernej pochopności w wyciąganiu wniosków u drugich, nie uniknęło się atmosfery nieufności czy zadrażnień, ale obiektywnie konieczny proces rewizji zrobił swoje. I jeśli już dzisiaj, chociaż jeszcze wiele przed nami do zrobienia, wolno ze spokojem stwierdzić, że postawa autokompromitacji została przezwyciężona, że krystalizuje się postawa rehabilitacji katolików polskich, to jest to przede wszystkim wynikiem owego procesu, do którego prowokowała sytuacja historyczna.

Proces ten wywarł także istotny wpływ na przekształcenie katolickiej postawy wobec obowiązku twórczości kulturalnej. Najogólniej wyniki tego wpływu wyrazić można w stwierdzeniu, że zacieśnił się związek między rozumieniem i organizowaniem własnej aktywności kulturotwórczej katolików a inspiracjami doktryny katolicyzmu. Wzrosła skala odpowiedzialności za teleologiczny sens tworzonego dzieła, wzrosło poczucie spójni między kulturą a filozofią, między kulturą a teologią.

Oczywiście, ponieważ to przekształcanie katolickiego stosunku wobec obowiązku twórczości kulturalnej spowodowane zostało określonym procesem historycznym, ponieważ odbywało się poprzez rozmaite odmiany dziania się określonego procesu historycznego, różni ludzie, różni katolicy, różne środowiska w różny sposób precyzowały w sobie i w swoim działaniu pogłębione poczucie zależności między obowiązkiem twórczości kulturalnej a inspiracjami doktryny. Ten sposób uwarunkowany był chyba w zasadniczej mierze stosunkiem wobec określonego procesu historycznego, tzn. wobec rewolucji socjalistycznej w Polsce Ludowej, inspirowanej i kierowanej przez materialistów filozoficznych.

Najogólniej — na użytek dzisiejszych rozważań — wyodrębnić można dwa zasadnicze typy postaw katolickich wobec wielkiego novum historycznego, jakim była u nas rewolucja socjalistyczna.

Negatywne określenie tych postaw dałoby się sprowadzić w jednym wypadku do obawy przed zaprzepaszczeniem lub zwężeniem historycznego przekazu doktryny, w drugim wypadku do obawy przed nową kompromitacją funkcji społecznej katolicyzmu. To znaczy: jedni widzieli w rewolucji socjalistycznej przede wszystkim materializm filozoficzny, drudzy — przede wszystkim materializm historyczny. Dla jednych nowa sytuacja historyczna była przede wszystkim wezwaniem do skrupulatniejszego chronienia i rozwijania zagrożonej — według nich — przez materializm filozoficzny doktryny, dla drugich nowa sytuacja historyczna była przede wszystkim wezwaniem do odrobienia uwidocznionych w dzianiu się praw materializmu historycznego zapóźnień społecznych katolicyzmu.

W pozytywnym programie działania obydwu postaw wyrażała się ta różnica ocen historycznej roli rewolucji socjalistycznej konkretnymi odmiennościami zainteresowań. Jedni skupiali swoje wysiłki wokół pietystycznych interpretacji i popularyzacji doktryny dla zagwarantowania jej jak najpełniejszego i jak najczystszego przekazu historycznego. Drudzy w centrum swoich zainteresowań i działań ideowo - politycznych umieścili zagadnienie nowego ustroju, aby poprzez jak najbardziej twórczy udział w rozwiązywaniu tego zagadnienia przyczynić się do rehabilitacji funkcji społecznej katolicyzmu.

Pierwsi — przekonani o wyłącznej słuszności swojej postawy — patrzyli nieufnie na poczynania drugich, wysuwając — do tej pory pozbawioną obiektywnych przesłanek — sugestię, że działalność odmienna w swoim kierunku od ich działalności podważa autorytet doktryny, prowadzi do czegoś w rodzaju schizmy, grozi herezją. Drudzy — mobilizowani przekonaniem o słuszności swojej drogi — polemizowali z pierwszymi, broniąc skutecznie twierdzenia o niesprzeczności swojego stanowiska z doktryną i atakując jednocześnie stanowisko dyskutantów jako stanowisko obiektywnie konserwatywne, a więc w konkretnej sytuacji historycznej — wsteczne. Po czyjej stronie była słuszność — dowodzą i dowiodą fakty.

Ale nie należy w przypominaniu tych spraw pomijać jednego wyjaśnienia. Naszkicowane powyżej postawy i różnice zachodzące między nimi ujęte tu zostały streszczeniowo, z grubsza, bez światłocieni. I jednych i drugich interesowała sprawa czystości doktryny, troska o jej nieskazitelny przekaz historyczny. I jedni i drudzy zdawali sobie sprawę z ważności problemu społecznej funkcji katolicyzmu. Różny był rozkład akcentów, różny wybór historycznych dominant, wreszcie — różna interpretacja. Prawda tych różnic nie była czarno-biała, ale była na tyle wyraźna, że po wyjaśnieniu, które podyktował obowiązek lojalności, wolno powyżej podaną charakterystykę aktywnych postaw katolickich wobec rewolucji socjalistycznej uznać za charakterystykę w swoich zasadniczych określeniach odpowiadającą prawdzie historycznej.

Charakterystyka ta pomija elementy bierne kulturotwórczo, wyłącznie konsumpcyjne, dalekie od krystalizowania postaw poznawczych lub jakichkolwiek inspiracji pozytywnych wobec kultury. Elementy te chociaż — niestety — ilościowo dosyć bogate, nie wpłynęły na jakość formułujących się w społeczności katolickiej poglądów na obowiązek twórczości kulturalnej.

IV. OBUSTRONNE BŁĘDY

RÓŻNICA postaw wobec określonego procesu historycznego, jakim jest polska rewolucja socjalistyczna, zdeterminowała różnicę w precyzowaniu przekształceń katolickiego pojmowania obowiązku twórczości kulturalnej.

Z jednej więc strony twórczość kulturalną proponowano traktować przede wszystkim jako okazję do zbawienia własnej duszy, jako tytuł do zasługi wobec Boga, jako jedną z dróg Odkupienia. Relacja między indywidualnym procesem kulturotwórczym a jego ostatecznym sensem teleologicznym była tylko jedna: ja i Bóg. Społeczeństwo, świat, historia — oczywiście, istnieją, biorą udział w takim rozumowaniu, ale tylko jako wtórniki, jako tło zasadniczego procesu, którym jest dążenie duszy do Boga. Dlatego miernikiem wartości zjawiska kulturalnego jest to, czy i w jakim stopniu podoba się ono Bogu. Korektura społeczna wartości tak pojmowanych zjawisk kulturalnych jest dopuszczalna, w jakichś tam doraźnych kategoriach przydatności historycznej wskazana nawet, ale merytorycznie, teologicznie niekonieczna, jakoś więc i błaha! Bo kultura — chociaż w porządku doczesnym jest zjawiskiem społecznym, gdyż dzieje się między ludźmi — swoją miarę ostateczną znajduje między duszą dążącą do Boga i Bogiem, kultura jest bowiem jeszcze jedną formą zbawienia duszy, jest po prostu — jak to określano z tych stanowisk — „szukaniem Łaski".

Z drugiej strony proponowano zjawiska kulturalne sprowadzać do ich konkretnych, empirycznych niejako wymiarów. Instancją powołaną do wymierzania sprawiedliwości wartościom kulturalnym miała być socjologia. Transcendencja wartości kulturalnych, funkcja niemal eschatologiczna procesu kulturotwórczego, zasługa wobec Boga — oczywiście, istnieją, biorą udział w takim rozumowaniu, ale jako wartości w ludzkim przeżyciu i pojmowaniu niewymierne. Dlatego miernikiem wartości kulturalnych powinna być ich funkcja społeczna. Za kulturę uważano niemal sumę funkcji społecznych tego czy innego zjawiska kulturalnego. Prawie że akceptowano definicję Czarnowskiego, który określa kulturę jako „całokształt zobiektywizowanych elementów dorobku społecznego, wspólnych szeregowi grup i z racji swej obiektywności ustalonych i zdolnych rozszerzać się przestrzennie". Zwalczano wszelkie odmiany „religii kultury". Za wartości kulturalne uważano te wartości, które dały się wymierzyć w kulturalnych realiach stosunków międzyludzkich, czy — ogólniej mówiąc — międzygrupowych. Korektura teologiczna wartości tak pojmowanych zjawisk kulturalnych jest dopuszczalna, może nawet przydatna, ale jednocześnie bałamutna, grożąca religianctwem kulturalnym, a więc wtórna.

W obydwu tych stanowiskach wyostrzano krańcowości, które jeszcze bardziej występują w tak skrótowym przedstawieniu, ale nawet po wszystkich — zawsze koniecznych — wysubtelnianych pozostawało prawdą, że jedni skłonni byli ostatecznych racji i mierników wartości kulturalnych szukać w teologii, drudzy zaś w socjologii, chociaż ani pierwsi nie negowali współczynnika socjologicznego, uczestniczącego w strukturze każdego kulturalnego zjawiska, ani drudzy nie odmawiali zjawiskom kulturalnym zawartych w nich immanentnie pierwiastków teologicznych.

Oczywiście, i jedni i drudzy mieli sporo racji. Jedni, twierdząc, że kultura — jak wszystko zresztą w życiu chrześcijanina — ma służyć dążeniu do Boga, przypominali starą, wiecznie ważną prawdę. Drudzy, twierdząc, że kultura — jak wszystko zresztą w życiu ludzkim — warunkowana jest społecznym układem warunków i w tym układzie musi także sprawdzać sens i prawidłowość kierunku swego rozwoju — również przypominali ważne prawo hierarchizowania zjawisk.

I jedni i drudzy popełniali wszakże błąd jednostronnego rozkładu akcentów. U jednych wyraziło się to niedocenianiem doczesności, u drugich — niedokończoną motywacją. Zabrakło zharmonizowania słusznych elementów w pełnię słusznego stanowiska kulturotwórczego. W tym skłóceniu wyjaskrawień i jednostronności rodzić się mogły — i rodziły się — konkretne błędy. U jednych — wąsko pojęta „religia" procesów kulturotwórczych prowadziła do lekceważenia laickiej, społecznej wymowy zjawisk kulturalnych. U drugich — nadmiernie wyakcentowana doraźność funkcji społecznej zwężała perspektywy pozasocjologicznego sensu zjawisk kulturalnych. W obydwu wypadkach można było stwierdzić błędność tych postaw, wyrażającą się w spłyceniu rozumienia celowości każdego procesu kulturotwórczego. Obydwie postawy z tym, co w nich było słuszne i z tym, co raziło w nich jako jednostronny, błędny rozkład akcentów czekały niejako na nowe, głębsze i szersze przemyślenie, na syntetyczną korekturę podjętą ze stanowiska głębiej zinterpretowanej doktryny katolicyzmu.

V. TEZA ZOBOWIĄZUJĄCA

OKAZJI, materiału i twórczej inspiracji do przeprowadzenia takiej korekty katolickiego pojmowania obowiązku twórczości kulturalnej dostarcza przedmowa do wydanej ostatnio przez „Pax" książki Bolesława Piaseckiego „Zagadnienia istotne".

W przedmowie tej autor — dokonując zasadniczych precyzji w teologicznej i ideologicznej interpretacji zadań współczesnego katolicyzmu na świecie i w Polsce Ludowej — nie zajmuje się osobno zagadnieniem aktywności kulturotwórczej katolików. Ale są w jego wywodach odkrywcze przesłanki, które funkcjonują bardzo precyzyjnie i sprawnie w rozszerzeniu, czy uszczegółowieniu wobec katolickiego obowiązku twórczości kulturalnej.

Chodzi tu przede wszystkim o wpisaną w przedmowę do „Zagadnień istotnych" tezę, dotyczącą koniecznej równowagi między kontynuacją dzieła Stworzenia i dzieła Odkupienia.

Dla zrozumienia i uzasadnienia wniosków, ku którym zmierzamy w tych rozważaniach o katolickim pojmowaniu obowiązku twórczości kulturalnej, konieczne jest — choćby skrótowe — przypomnienie ważnej dla naszego rozumowania tezy.

Najlepiej zrobią to konieczne w tym miejscu cytaty.

„Religia katolicka głosi, że Bóg jest Panem świata z dwóch tytułów: jako Stworzyciel i jako Odkupiciel. Myśl chrześcijańska zajęła się przede wszystkim dziełem Odkupienia z wyraźnym pominięciem dzieła Stworzenia. Jednostronność ta wywołała szereg daleko idących konsekwencji społecznych. Do nich przede wszystkim należy ustawiczny lęk myślicieli katolickich o to, aby miłość stworzenia nie spowodowała zapomnienia o Stwórcy. Lęk ten znajdował swój wyraz w sugerowaniu ludziom bardzo skromnych ograniczonych celów doczesnych. Podłoże kapitulanckiego charakteru tej sugestii jest to samo — obawa, że wielki cel doczesny przesłoni człowiekowi cel ostateczny. Wreszcie zjawia się strach przed wzrostem możliwości człowieka. Bezpieczniej jest nie panować nad przyrodą, bo zwiększa to możliwości czynienia źle. Bezpieczną dla mas jest ich bieda, bo zmniejsza ona możliwości ulegania pokusom.

Nie trudno wykazać, że trwożliwa atmosfera wychowawcza myśli społecznej katolicyzmu nie wynika z doktryny. Objawem intelektualnym braku konsekwencji w stosunku do założeń doktryny jest zawiłość i mętność kazuistyki teologicznej. Jej podejrzana roztropność nie

Z teki KRYSTYNY MAŚLANKÓWNY

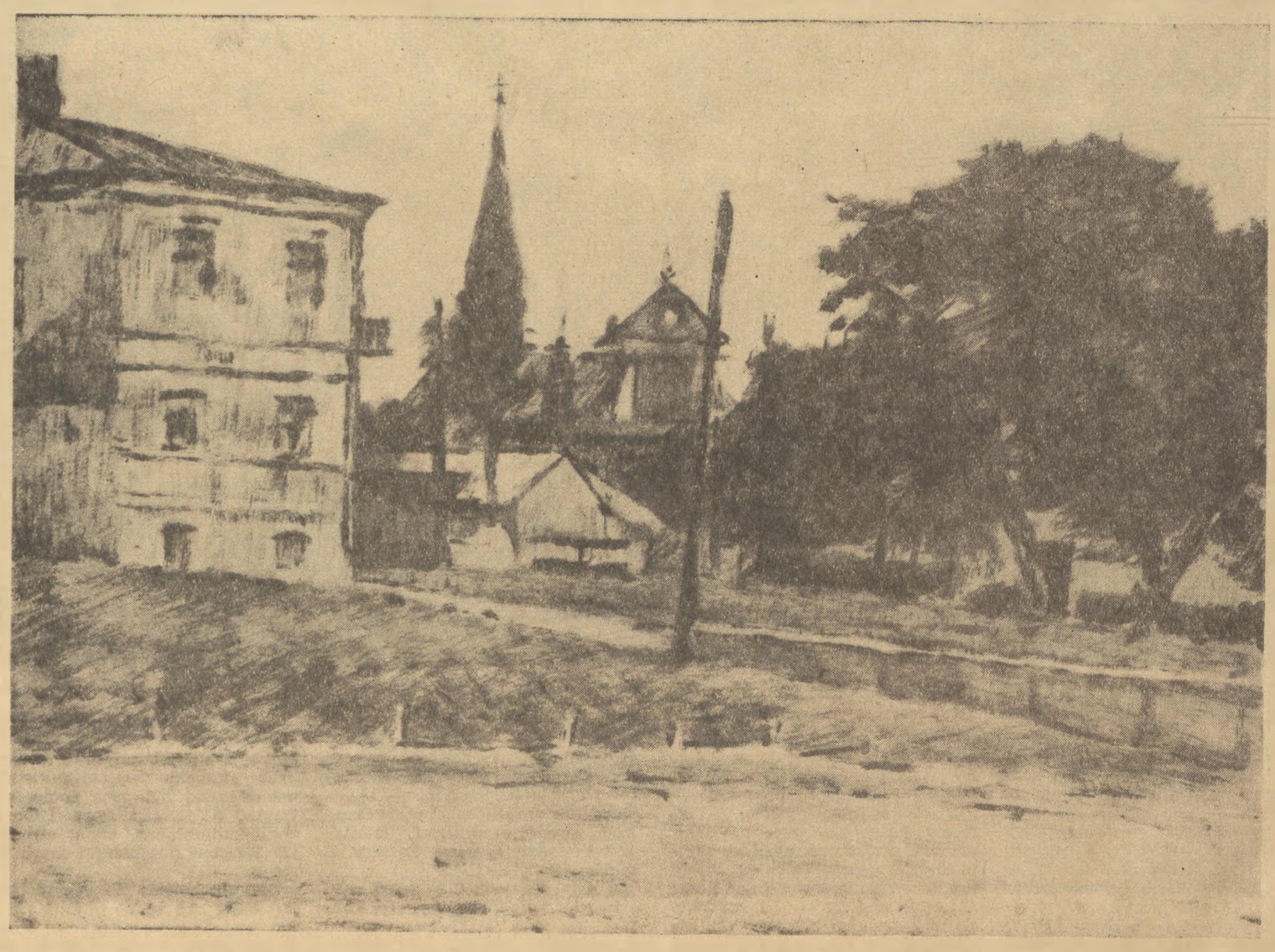

Pejzaż z Sandomierza

potrafiła, bo nie mogła, przesłonić następujących, zasadniczych konsekwencji filozofii chrześcijańskiej:

- lęk przed miłością stworzenia przeczy zasadzie miłości bliźniego i zaufaniu do Stwórcy,
- obawa przed wielkością celu doczesnego człowieka przeczy także zaufaniu do Stwórcy,
- strach przed rozwojem możliwości człowieka przeczy ontologicznemu uwielbieniu Stwórcy. Tym doskonalszy byt, im większe ma możliwości i im lepiej je urzeczywistnia. Rozwój możliwości ludzkich wielbi Stwórcę. Gdyby Bóg nie chciał być uwielbiony przez poziom doskonałości, stworzyłby zapewne człowieka bez rozumu" (str. 6 — 7).

A dalej czytamy:

„Zniekształceniem (...) chrześcijańskiego stosunku Boga i człowieka jest sprowadzać go tylko do problemu łaski i grzechu. Jest jeszcze problem dzieła. Przed upadkiem i odkupieniem człowiek harmonijnie używał pełnych możliwości własnych i świata dla dalszej realizacji dzieła Stworzenia. Grzech pierworodny sprowadził na świat skuteczność zła dla woli ludzkiej nie jako cechę konstytutywną dzieła Stworzenia, ale cechę nabytą. Odtąd kontynuacja aktu Stworzenia przez człowieka wymaga nie tylko przemieniania możliwości w rzeczywistość, ale wymaga wyboru wśród złych i dobrych możliwości. Zadanie człowieka i ludzkości stało się trudniejsze, ale nie straciło swojego charakteru obowiązującego. Odkupienie, likwidując bezradność człowieka wobec zniewagi Boga, nie zlikwidowało jego ontologicznego charakteru współpracownika Stwórcy. Od momentu powstania dzieło Stworzenia jest w ustawicznym ruchu przechodzenia od stanu możliwości do aktu i od możliwości, które każdy akt stwarza, do następnego aktu. Świat jest w ruchu, gdyż przekształcanie świata jest potrzebą i zamiarem Stwórcy. Dlatego świat jest stworzony dla człowieka jako koniecznie przekształcalny. Rzeczą chrześcijaństwa jest nadawać każdej możliwości ludzkiej i każdej możliwości tkwiącej w przyrodzie pełny stan aktualizacji i sens doskonałości. Przekształcać świat znaczy dla człowieka nie tylko chcieć zmian, ale i umieć tworzyć dzieła skuteczne.

Pojmowanie roli katolicyzmu w historii zawierało zawsze dwa niebezpieczeństwa zdrady jego misji. Jedno polega na czynieniu go bezskutecznym wobec nieba, drugie na czynieniu go bezskutecznym wobec ziemi. Pomniejszanie znaczenia intencji i łaski prowadzi chrześcijanina do zagubienia celu ostatecznego; pomniejszanie znaczenia pracy nad doskonaleniem świata i dzieł stanowiących o jego postępie prowadzi do zagubienia drogi do tego celu. W pierwszym wypadku katolik odmawia kontynuacji dzieła Odkupienia, w drugim — dzieła Stworzenia. Katolicyzm i chrześcijaństwo w historii nowożytnej dopuściło do krańcowego przechylenia się w kierunku lekceważenia zadania kontynuacji dzieła Stworzenia. W wyniku jednostronnego stosowania doktryny nastąpiło zubożenie funkcji społecznej katolicyzmu, postęp i rozwój ludzkości odbywał się obok chrześcijaństwa lub mimo chrześcijaństwa." (str. 13-14).

Tak postawiona i uargumentowana teza, za prawdziwością której stają nieraz bardzo gorzkie doświadczenia całych wieków chrześcijaństwa i twórczy dorobek naszych lat, brzemienna jest w wiele zasadniczych wniosków pochodnych, które wyjaśniają sporo groźnych nieporozumień wynikłych z jednostronności lub zawinionej historycznie wąskości interpretacji doktryny,

VI. PRZECIW WĄSKOŚCI UKOCHANIA CELÓW

NACZELNY wniosek, który jest właściwie tylko innym sformułowaniem tezy generalnej, daje się sprowadzić do następującego rozumowania:

Zbawienie duszy jest niezmiennie zasadniczym celem dążeń katolika, ale dążenie to — z czego nie zawsze dostatecznie jasno zdawano sobie sprawę — jest integralnie związane z dążeniem do doskonalącego przeobrażania świata. Doskonalące przeobrażanie świata jest bowiem konsekwencją zrozumiałego teologicznie nakazu koniecznej kontynuacji dzieła Stworzenia. Dlatego katolik obserwując, przeżywając i uczestnicząc w historii rozwoju ludzkości, traktowanej także w kategoriach kontynuacji dzieła Stworzenia, a więc w kategoriach nakazu doskonalącego przekształcania świata musi — jak konkluduje autor „Zagadnień istotnych" w swojej przedmowie — „tkwić zawsze w kierunkach rozwojowych tendencji społecznych" (str. 15).

Z tego wniosku wynika następny: wszystko, co służy obiektywnemu rozwojowi, obiektywnemu postępowi jest — jak określa to przedmowa — „obiektywnym sojusznikiem misji chrześcijaństwa w stosunku do świata" (str. 15).

A wnioski dalsze?

Jeśli doskonalące przekształcanie świata to nic innego jak — wpisane w dążenie ku zbawieniu duszy — mnożenie bytów i ich ciągłe ulepszanie, to znaczy, że zadaniem katolika, zadaniem warunkującym stopień realizacji jego celu ostatecznego jest maksymalne napięcie sił twórczych, maksymalna aktywność twórcza, maksymalna kontrola tworzonych i doskonalonych wartości.

Ten ostatni wniosek — mimo pozornej truizmowości — należy mocno zaakcentować jako badzo istotny dla scharakteryzowania katolickiego maksymalizmu. Żąda on od katolików wszystkiego. Każda zaprzepaszczona szansa stworzenia dzieła wielbiącego Boga, dzieła doskonalącego świat, każda niewykorzystana okazja do ulepszenia bytu to nie tylko jedna szansa, jedna okazja mniej — to także pogłębienie niezgodności doktryny z praktyką, to także powiększenie naszych ogromnych długów moralnych, zaciągniętych wobec Boga.

A dalej: Każde zlekceważenie innego bytu, innego dążenia doskonalącego świat, które wsparte naszą akceptacją, naszym współudziałem i naszym zrozumieniem czy ukochaniem — byłoby silniejsze, skuteczniejsze i pełniejsze, a które — pozbawione naszego zainteresowania, uboższe o naszą miłość czy choćby nasz uśmiech przyjazny — nie jest już tak pełne, jakie byłoby pomnożone o nas — to błąd wąskości ukochania celu ostatecznego, to grzech wobec obowiązującego nas maksymalizmu pragnień i dążeń.

Ten maksymalizm musi być kontrolowany rozsądkiem realizowania celów, ale zawsze ożywiony być musi ogromem celu ostatecznego. Na tym polega i piękna tragedia, i jednocześnie wielki optymizm katolicyzmu, że dając wszystko — żąda wszystkiego.

I mówiąc o tezie koniecznej równowagi między dziełem Stworzenia a dziełem Odkupienia oraz o wnioskach z niej wynikających nie możemy pomijać tego pozornie tylko truizmowego przypomnienia.

VII. WYPROSTOWUJĄC BŁĘDY

SPRÓBUJMY przenieść tę tezę wraz z wynikającymi z niej wnioskami na płaszczyznę naszych rozważań o katolickim pojmowaniu obowiązku twórczości kulturalnej.

W świetle tej tezy wyjaśnia się przede wszystkim nieporozumienie między dwiema charakteryzowanymi uprzednio postawami katolików wobec obowiązku twórczości kulturalnej. Teza, o której była mowa powyżej, pozwala i w jednym, i w drugim z przedstawianych uprzednio rozumowań przeprowadzić konieczną korektę, pozwala i z jednego, i z drugiego rozumowania usunąć błąd jednostronności, pozwala wreszcie na sformułowanie stanowiska syntetycznego, z dotychczasowych najpełniejszego, stanowiska, które powinno być dla katolików teoretycznie i praktycznie zobowiązujące.

W świetle tezy o koniecznej równowadze między kontynuacją dzieła Stworzenia i dzieła Odkupienia błąd tej postawy, która swój opis poznawczy zjawisk kulturalnych kulminowała we wniosku, że kultura jest „szukaniem Łaski" — jawi się jako błąd typowy dla tradycjonalistycznych, powiedzmy wyraźnie: konserwatywnych interpretacji doktryny, które prowadziły do lekceważenia, do umniejszania porządku Stworzenia na rzecz porządku Odkupienia. Określmy ten błąd jako błąd zwężenia teologicznego.

W świetle tej samej tezy błąd drugiej postawy, tej mianowicie, która zasadniczym i niemal wyłącznym miernikiem wartości zjawisk kulturalnych czyniła ich obiektywną funkcję społeczną — to błąd niedokończonej hierarchizacji celów, błąd zautonomizowania celu pośredniego, celu akcydentalnego. Określmy ten błąd jako błąd zwężenia teleologicznego.

Teza demaskująca te błędy jest jednocześnie tezą dyktującą jedyne właściwie — z katolickiego punktu widzenia — stanowisko.

Każdy proces kulturotwórczy winien być dla katolika aktem realizującym dążenie ku zbawieniu duszy, ale realizacja ta tylko wtedy będzie miała swój sens teologiczny i teleologiczny, gdy będzie jednocześnie sprawdzalnym obiektywnie dążeniem ku doskonalącemu przekształcaniu zastanego układu wartości kulturalnych, uczestniczących w konkretnym układzie sił historycznych.

W tak sformułowanym stanowisku trzeba dla częściowego choćby odrobienia dawnych zaniedbań i częściowego choćby zwalczenia ciążącego jeszcze na wielu katolikach błędu — podkreślić rolę czynnika społecznego w teologicznym rozumieniu celu działań kulturotwórczych.

Nazwijmy to roboczo teologicznym awansem pierwiastka socjologicznego w kulturze.

To niezwykle ważna sprawa. Przy takim jej postawieniu każda decyzja, każdy wybór dawniej traktowany jedynie na płaszczyźnie konfrontacji takich czy innych przekonań społecznych staje się decyzją i wyborem zasadniczym, moralnym, teologicznym. Każde zaniedbanie, każdy gest nieprzemyślany, każde milczenie i każde powiedzenie, dawniej rozpatrywane lub nawet przeżywane wyłącznie jako manifestacja tej czy innej oceny zjawisk społecznych lub politycznych, teraz jest także dostarczaniem materiału dla określenia swego stanowiska moralnego, teologicznego, swojego stosunku nie tylko do tej czy innej formacji historycznej, lecz także swojego stosunku do doktryny.

Czy trzeba podkreślać ważność tego novum?

VIII. NAKAZ TWÓRCZOŚCI

OPRÓCZ możliwości zasadniczego wyjaśnienia i skorygowania stanowisk teza o koniecznej równowadze między kontynuacją dzieła Stworzenia i dzieła Odkupienia przeniesiona na płaszczyznę rozważań o katolickim pojmowaniu obowiązku twórczości kulturalnej pozwala na wyjaśnienie kilku innych pochodnych, ale chyba bardzo ważnych spraw.

Przede wszystkim: pojmowanie twórczości jako obowiązku. Mówi się ciągle w tym artykule o obowiązku twórczości, ale czas rzecz sformułować precyzyjniej. Wśród wielu (także i katolickich) twórców dane im możliwości twórcze traktuje się jako przywilej. Moje zdolności, moja sztuka, moje osiągnięcia — oto język, którym wielu twórców, jeśli nie mówi głośno, to myśli cicho o swojej twórczości. Istnieje skłonność, normalna, słaba, egoistyczna skłonność ludzka do traktowania własnych możliwości jako własności prywatnej. Bo w oparciu o przekonanie (obiektywnie słuszne lecz subiektywnie często źle przeżywane) o specjalnym posłannictwie społecznym wartości kulturalnych twórcy wymagają, żądają od społeczeństwa specjalnych praw. A najpiękniejszym prawem, jakie Bóg i społeczeństwo dają twórcom, jest to, że twórczość być powinna nie przywilejem, lecz obowiązkiem.

Dotychczasowe przypomnienia graniczą z truizmami. Trzeba więc sprawę jeszcze dokładniej sprecyzować, bo nie chodzi tu o truizmy.

Konieczna z teologicznego punktu widzenia kontynuacja dzieła Stworzenia każdy akt kulturotwórczy nakazuje traktować nie jako łaskawy czy wspaniałomyślny podarunek dla ludzkości, czy wyrafinowaną przyjemność, dającą samozadowolenie, lecz przede wszystkim jako spełnianie nakazu mnożenia i doskonalenia bytów, jako spełnianie zleconego naturze ludzkiej zadania poszerzania istniejącej rzeczywistości, jako obowiązek warunkujący prawidłowy sens istnienia człowieka.

Twórczość jednak jest nie tylko obowiązkiem. Jest obowiązkiem maksymalistycznym. Żąda wszystkiego od twórcy. Każda pominięta okazja, każda zaprzepaszczona szansa kulturotwórcza, każdy zwężony lot myśli, słowa, dźwięku czy barwy — to nie tylko problem „sumienia twórcy", „wrażliwości estetycznej" — to także problem teologiczno - moralny. Jesteśmy wspaniale skazani na ostateczną miarę samych siebie. Tą miarą będziemy mierzeni. Kto nie jest na tę miarę, na miarę swojej wszystkości — ten jest zobowiązany dodatkowo do ciągłego dorastania ku doktrynie. Heroizm katolicyzmu polega na jego maksymalizmie, tak jak tragedia katolicyzmu polega na minimalizowaniu, na zwężaniu przeżywania nakazów doktryny.

W działalności kulturotwórczej nie maleją one nawet o najmniejsze drgnienie pobłażliwości. Przeciwnie, powinny być traktowane jeszcze surowiej. Jeżeli jesteśmy zasmuceni naszą katolicką kulturą, sztuką, literaturą, jeśli nie widzimy w niej dzieł, z których mógłby cieszyć się Bóg i świat, i my, to wina leży nie w surowości postawionych przed nami nakazów, lecz w naszej wobec nich słabości. Słusznie wołamy światu: miłość, miłość, miłość. Ale równie słusznie świat, stworzony przez Boga, odpowiada: praca, praca, praca. Powinniśmy nakaz ten podjąć bardziej niż kiedykolwiek świadomi jego nie tylko społecznego, ale także teologicznego znaczenia.

Twórca katolicki pojmujący swoją twórczość jako obowiązek — wszelkie inne pojmowanie jest pychą lub wygodnictwem — musi się czuć odpowiedzialny także za swoje milczenie. Jeśli świadomie skazuje na niebyt społeczny te wszystkie piękne byty, które mógłby powołać do istnienia, jeśli świadomie wybiera drogę ludzi obrażonych na historię, musi — z racji już nie tylko społeczno - politycznych, ale także teologiczno - moralnych — rozważyć, czy historia się myli, czy on. Rozważając zaś musi pamiętać, że historia nie myli się chyba nigdy, a człowiek niemal codziennie.

(Dokończenie na str. 6)

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI — *rys. KRYSTYNA MAŚLANKA*

RADOŚĆ

1

W zielonych oknach pelargonie
I płonie złoty wieczór u okiennic,
Przed bramą powóz — cztery białe konie
Woźnica drzemie.

Na tej uliczce jak gryf wiolonczeli
Zefir rzępoli modrą romancę,
Cztery gołębie jak czterej anieli
Lecą nad smyczkiem.

Wieczór nad bardzo starym Wiedniem —
Dryndziarz różami ma przybrany bat.
Po niebie księżyc lekkomyślny biegnie —
Ktoś z tamtych lat.

W obłoczkach tiulu panna młoda,
Wąsaty drużba przed orszakiem gości,
A żal skrzypcowy na wstążce im podda
Nutę radości.

W Warszawie, podczas śnieżnej niedzieli,
Na Staroświeckiej ulicy „Nowy Świat" —
Kreisler mi strząsnął ze strun wiolonczeli
Tę gwiazdę — weselny kwiat.

2

Moja radość nie za wysoka
ani zgrzebna, ani odświętna.
Kołysała ją na obłokach
wątła struna — ale nie pękła.

Wszystkie nasze codzienne sprawy
stoją pod nią jak w złotej łunie.
Choć nie umiem, będę ją sławić
na pięciu strunach —
na jednej strunie.

Moja radość chociaż niczyja
jak to serce moja — gdy boli,
gniazdo w strunach srebrnych uwije
i cierpieniem wzrośnie powoli.

3

W późny wieczór na niskim moście
Chłopiec brzęczał na harmonijce
O białych koniach — o miłości
I o dziewczynie, którą wyśnił.

Nie wiem czemu ten smutek w ustach
Tak mu płakał jak ptak co ginie.
Deszcz zapluskał a potem ustał,
On wciąż o niej i tylko przy niej.

A pod mostem woda się śmiała
Zawadiacko i urągliwie
Z tej piosenki, która płakała
Umierając w chłopięcych ustach.

Po imieniu go zawołała
Radość trudna jak ból miłosny,
Ten wiosenny jak wszystkie wiosny
Krótki pasaż na harmonijce.

Nad tą wodą przy niskim moście
Przez deszcz czysty w sen mi się wdziera
Ta romanca obcej radości
Niby serce Fryca Kreislera.

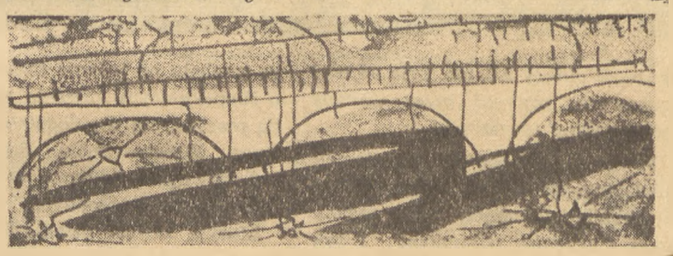

4

Ach jaki bezgraniczny
jaki niewysłowiony
jaki bez dna
A jaki trudny
jaki bezradny
jaki kaleki
A przecież własny
jak tajemnica
i tylko mój.
I dumny taki
chociaż wzgardzony
i odepchnięty.
Mrącym jastrzębiem
we mnie kwilący
nieutulenie.
Od snu mocniejszy
jak noc wysoka
niepokonany
Długo już krwawi
żelaznym ostrzem
we mnie drgający.
Ale jedyny
najukochańszy
od życia droższy
jest mój żal.

5

Jest na linii Warszawa — Otwock
taka miejscowość — małe letnisko.
Sosny świecą na rudych piaskach,
gwiazdy łażą po sosnach nisko.

Tutaj kiedyś w domu Józefa
także poety — stałem przy oknie
i myślałem jak też to moknie
wiatr iglasty w złotej ulewie.

I przyśniło mi się wesele
moje wesele jakby przez łzy;
jakieś skrzypce w pustym kościele
i ktoś obcy — może Ty?

I srebrne konie mknące po moście,
śliczna panienka w puszystej bieli —
można by o tym jeszcze prościej
ale nie warto. — To tak niewiele.

Owa miejscowość zowie się „Radość".
Zwyczajna nazwa a tyle znaczy
jakby ją śpiewał ptak.
Mogłaby dźwięczeć jeszcze weselej
albo zwyczajniej, albo inaczej.
Może jednak lepiej, że tak?

6

Wąskie uliczki wiedeńskie
i gołębie Krakowa
fontanny i wiolonczele
niedosłyszalne słowa
żal miłosny Kreislera
płaczący na Mariensztacie
i złote wiolonczele
i dryndziarzy — wąsaczy
białe weselne bukiety,
tych, których proszę w gości
i wszystkie przelotne uśmiechy
i wszystkie proste radości
i wszystkie dzienne sprawy
zaprzęgi białych koni
i Wiednie i Warszawy
gwiazdę, która mi dzwoni
w promieniach pięciu strun,
ocal od łun.
Chorały białoruskie
o brzozie jak panna młoda
deszcz, który cicho pluska
w zieloną wodę.
Gołębie i wiolonczele
Notre Dame kamienną różę
wybaw od burzy.

7

Nie w gromkim święcie narodowym
Kiedy orkiestry grzmią na rynkach,
Ani w symfonii — co Beethoven
Kołysał ją na głuchych rękach.
Ona jest cichsza — ciepłym deszczem
Spływa i brzozę w dół przegina,
W tej strunie jest, gdy srebrnie brzęczy
Jakby młodziutka szła dziewczyna
I w zgrzycie kół gdy do Otwocka
Kolejka elektryczna pędzi
W stodole kiedy dudni młocka
Aż pył na rzęsach snem osiądzie,
W tej gwieździe kiedy lekko spada
Jak kwiat rzucony w ciemne struny
I gdy pod mostem pieśń jak szpada
Kładzie się poprzez modry strumyk
I w małym oknie pelargonie
W którym pąsowo się rozpalą
I twoje małe złoci dłonie
Wezbrane niby łzami — żalem
Ona jest w każdej dziennej sprawie
I kiedy wstają ranne zorze
Tak lekka — nieuchwytna prawie
Jak płacz potrzebna i jak zboże
Synu mój — coś nie powstał ze mnie
To ona światłem twoich źrenic
A cień cierpienia nadaremnie
Zasłania przed nią gwiezdny zenit
Ona — skrzydlata córa ziemi
Jak anioł kiedy w dłonie spadł
Trzepocąc iskrzy się i zmienia
W muzykę —

gwiazdę —
kwiat.

TOMASZ KWAŚNIEWSKI

Maryja Matka Chrystusa

DLA każdego katolika Maryja — Matka Crystusa jest kimś niezwykle bliskim, drogim, kimś, do kogo zwracamy się w naszych trudnościach, kłopotach, do kogo uciekamy się wiedząc, że Ona nas na pewno nie zawiedzie — kimś kochanym. Jest jednak wielu katolików, którzy choć czczą Maryję i modlą się do Niej, nie znają dostatecznie prawd o Niej sformułowanych w dogmatach.

Dlatego też każda nowa książka traktująca o Maryi jest przyjmowana przez nas z radością. Matkę Bożą, Maryję, można poznawać dwojako. Albo z punktu widzenia Jej życia ziemskiego, i w tym są pomocą wydane w języku polskim nieliczne zresztą książki takie, jak np. Broise „Najświętsza Panna", Kraków 1925; Willam „Życie Maryi, Matki Jezusa", Warszawa 1939, a zwłaszcza A. Nicolas-Dąbrowski „Życie Maryi Matki Bożej", Pax, Warszawa, 1954; albo od strony mariologicznej doktryny. Wydana ostatnio przez Pax książka ks. Witolda Pietkuna pt. „Maryja Matka Chrystusa" przedstawia zagadnienia mariologiczne w ich najbardziej zasadniczym, bo dogmatycznym ujęciu.

*

Dogmat maryjny — prawda przez Boga objawiona, a nam przez nauczanie Kościoła świętego do wierzenia podana, wyrósł, tak jak i wszystkie inne dogmaty katolickie, z jednego depozytu wiary. Depozyt naszej wiary od początku wyrażony jest najogólniej w Symbolu Apostolskim, który jest prawdą macierzystą dla wszystkich dogmatów formułowanych w ciągu wieków, jako prawdy bardziej szczegółowe.

Każdy więc dogmat, a więc i poszczególne dogmaty maryjne, posiada swoją historię, co sprawia, że depozyt podlega rozwojowi homogenicznemu, tj. nie naruszającemu treści poszczególnych dogmatów zawartej w ogólnych artykułach Symbolu.

W Apostolskim Symbolu wiary imię Maryi zostało wymienione tylko ze względu na osobę Chrystusa. Doniosłą swą rolę bowiem Maryja spełnia w sposób taki, że cała nasza uwaga nie koncentruje się na Jej osobie, lecz na osobie Jej Boskiego Syna. W Ewangelii Świętej występuje też wówczas, gdy jest to konieczne i to tylko w pierwszej części odnoszącej się do Zwiastowania, Narodzenia i Dzieciństwa jako Matka Bożego Dzieciątka. Maryja w sposób doskonały i wyłączny wyraża się w swoim Dziewiczym Macierzyństwie, a wszystko, cokolwiek można o Niej powiedzieć, wypływa i wyraża się w tej jednej prawdzie zaczerpniętej z artykułu chrystologicznego „który się począł z Ducha Świętego, narodził się z Maryi Dziewicy."

Z tego dogmatu Bogurodzicy Dziewicy, leżącej u podstaw całego dogmatu maryjnego, teologowie stosując metodę badań mariologicznych zasadzają się na trzech regułach: stosowności, pierwszeństwa i upodobnienia, wyprowadzili dalsze prawdy ogłoszone przez Kościół jako dogmaty.

Dogmat Boskiego Macierzyństwa Maryi został określony na Soborze Efeskim w roku 431 potwierdzony dwadzieścia lat później na Soborze Chalcedońskim, w roku zaś 553 na Drugim Soborze Konstantynopolitańskim zdefiniowano dogmat Maryi zawsze Dziewicy.

Obie te prawdy były jednak wyznawane od początku istnienia Kościoła, a za herezję uważano wszystkie poglądy z nimi sprzeczne.

Macierzyństwo Maryi poprzedzone było poczęciem. Poczęcie to możliwe było tylko dzięki Wcieleniu, czyli zjednoczeniu w jednej osobie Jezusa dwóch natur: Boga i człowieka. W artykule Symbolu Wiary czytamy „który począł się z Ducha Świętego". Poczęcie więc Maryi wolne było od pożądliwości i udziału męża, a dokonało się za sprawą Ducha Świętego, który zstąpił na Nią gdy dała na to swoje przyzwolenie. Działanie Ducha Świętego sprawiło, że poczęcie Maryi wykraczało poza naturalne prawa i różniło się zasadniczo od każdego innego poczęcia. Poczęcie przez Maryję Jezusa za sprawą Ducha Świętego było dziewicze. Mieszczą się w tym dwie prawdy: po pierwsze, że za sprawą Ducha Świętego Maryja została Matką, gdyż ciało Jezusa nie powstało z nicości, lecz z ciała Maryi, po drugie, że Maryja sama dostarczyła Bożemu Dzieciątku organicznej materii i zapewniła wszelkie warunki potrzebne dla jego rozwoju. Dzięki więc temu, że w poczęciu spełniła rolę czynną i wyłączną, w przeciwieństwie do wszystkich innych matek, które spełniają tylko rolę czynną, mogła zostając matką pozostać równocześnie Dziewicą. Wcielenie Słowa Bożego uwarunkowane było świadomym i całkowicie wolnym „fiat" Maryi. Bóg chciał, żeby została Jego Matką, ale chciał równocześnie, by Ona pragnęła, aby został Jej Synem.

Wprawdzie Ojciec Przedwieczny wybierając Ją na Matkę dla Swego Syna już od samego Jej poczęcia w łonie św. Anny obdarzał Ją szczególnymi łaskami, tak, że w chwili Zwiastowania Anioł Gabriel nazywa Ją „łaski pełną", jednakże przyzwolenie na poczęcie i macierzyństwo zależne było całkowicie od Jej wolnej woli, którą posiadała w stopniu najwyższym. Dlatego też, zasługujący czyn Maryi leży w Jej dobrowolnym „fiat".

Tytuł Bogurodzicy nie występuje w Księgach natchnionych, jednakże Kościół przejął go po Apostołach i głosował na długo przed Soborem Efeskim, na którym został usankcjonowany.

Bogurodzica — to coś więcej niż Matka Jezusa. Nazwa ta oznacza bowiem, że Maryja dała życie przedwiecznemu Bogu. Jest to szczególna tajemnica zawarta we Wcieleniu Syna Bożego. Tak, jak o każdej ziemskiej matce mówi się, że rodzi osobę, a więc zarówno duszę, jak i ciało, choć duszę tworzy Bóg w momencie poczęcia; tak i Maryja porodziła pełną osobę Jezusa, czyli jednocześnie Boga i człowieka.

Tytuł — Bogurodzica wyraża ponadto, że przez swe macierzyńskie pośrednictwo umożliwiła Maryja Bogu nowy sposób egzystencji w naturze ludzkiej.

Z tego wreszcie tytułu wywodzi się jeszcze jedna prawda, która otrzymała sformułowanie dogmatyczne orzekające, że Maryja jest po Bogu Najświętsza. Przyjmując bowiem, kształtując i wydając na świat Najświętszego Boga, sama otrzymała tytuł Najświętszej jako Bogurodzica, pełna łaski już od Niepokalanego swego Poczęcia. Maryja nie stoi w rzędzie świętych na pierwszym miejscu, ponieważ jest ponad świętymi i ponad aniołami, zaraz po Bogu. Świętość Jej niedostępna i niepojęta jest dla wszystkich innych stworzeń, wolna bowiem była Ona od skazy grzechu pierworodnego i uczynkowego, wolna od następstw winy grzechowej, jak np. rozkładu pośmiertnego.

W zeszłym roku Kościół katolicki obchodził stulecie ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. Papież Pius IX mocą swego najwyższego autorytetu ogłosił go całemu światu w bulli Ineffabilis Deus, w roku 1854.

Podstawę prawdy Niepokalanego Poczęcia dała Tradycja wyrażana praktycznie w życiu Kościoła.

Również tradycja ujęta w znaczeniu głównym jako objawione Słowo Boże ogłoszone przez Kościół święty, dostarczyła teologicznych dowodów oraz w znaczeniu pochodnym wyrażająca się w pismach Ojców Kościoła, którzy tekstom Protoewangelii, starotestamentowym figurom, wypowiedziom proroków i wreszcie słowom Pozdrowienia Anielskiego nadali sens Niepokalanego Poczęcia, jak również w liturgii, w której nauczanie Ojców Kościoła znalazło swój wyraz. Orzeczenie dogmatyczne o Niepokalanym Poczęciu wyrażone jest w słowach: „Oświadczamy, stanowimy i wyrokujemy, że od Boga jest objawiona, a przeto przez wszystkich wiernych mocno i stale ma być wiarą wyznawana nauka, według której Najświętsza Dziewica Maryja w pierwszej chwili swego poczęcia ze szczególną łaską i przywilejem Boga Wszechmogącego, przez wzgląd na przyszłe zasługi Jezusa Chrystusa, Zbawiciela rodzaju ludzkiego, zachowana była wolną od wszelkiej zmazy pierworodnej winy; nauka ta jest od Boga objawiona, a przeto przez wszystkich wiernych mocno i stale ma być wiarą wyznawana".

Syntezę tego dogmatu zamknąć można w twierdzeniu, że Niepokalane Poczęcie jest szczególnym skutkiem Odkupienia.

Wszyscy ludzie podlegają prawu dziedziczenia natury, a z nią skazy grzechu pierworodnego po pierwszych rodzicach. Maryja więc ze względu na swą ludzką naturę pozostawała również w zasięgu dziedziczenia powinności grzechowej. Bóg jednak, przeznaczając Ją do spełnienia tak wzniosłej roli macierzyństwa Bożego, szczególniejszą łaską i przywilejem sprawił, że pozostała wolna od grzechu pierworodnego, to znaczy poczęcie Jej w łonie św. Anny było niepokalane. To Niepokalane poczęcie nie było zasługą Jej rodziców, Joachima i Anny, lecz zasługą Maryi jako przyszłej Bogurodzicy. Tak więc i poczęcie Matki i Jej Syna jest niepokalane, choć zasadniczo różne. Maryję Bóg zachował od skazy, dlatego też dopiero Jej osoba jest Niepokalanie Poczęta. Jezus nie podlegał dziedzictwu grzechu pierworodnego, nie tylko więc Jego poczęcie, ale również cała ludzka natura jest niepokalana.

Tak więc, gdy Jezus od wszelkiej zmazy grzechowej był wolny, Maryja podlegając prawu dziedziczenia

skażonej natury Adama, była od niej zachowana, my zaś przez Chrzest św. jesteśmy oczyszczeni.

W świetle już tego, co zostało powiedziane, jasne jest, że Maryja, choć Niepokalanie Poczęta, jest jednak przez Chrystusa odkupiona. I tak jak tytuł Bogurodzicy oddala Ją od nas na niedosięgłe wyżyny, tak prawda o tym, że podobnie jak my została przez Chrystusa odkupiona, zbliża ją do nas i stawia wśród potomków Ewy wykupionych od wiekuistej śmierci ofiarą Zbawiciela.

Niepokalane Poczęcie było skutkiem Odkupienia, ale skutkiem szczególnym. Bóg jakby udzielił Jej w tym przywileju przedpłaty ze skarbca zasług Odkupiciela. Dogmat wyraźnie wyraża to w słowach „za szczególną łaską i przywilejem u Boga Wszechmogącego, przez wzgląd na przyszłe zasługi Jezusa Chrystusa Zbawiciela rodzaju ludzkiego, zachowana była wolną od wszelkiej zmazy pierworodnej winy", a w kolekcie Mszy św. o Niepokalanym Poczęciu czytamy: „Boże, któryś przez Niepokalane Poczęcie Dziewicy przygotował godne mieszkanie Synowi Twemu, błagamy Ciebie: jako Ją na mocy zasług przewidzianej śmierci Twego Syna zachowałeś od wszelkiej zmazy, tak nas oczyszczonych za Jej wstawiennictwem racz prowadzić ku sobie".

Przywilej Niepokalanego Poczęcia wypłynął z godności i niezwykłej świętości Maryi, a z tych prawd wypływa prawda o Wniebowzięciu Jej ciała. Trudno bowiem przypuścić, by Maryja, w poczęciu swym Niepokalana, wolna od zmazy pierworodnej winy, podlegała jej skutkom. Trudno przypuścić, aby uwielbione Jej ciało, które stało się przybytkiem samego Boga, mogło podlegać rozkładowi.

Prawda o Wniebowzięciu Maryi z dawien dawna wyznawana jest przez wiernych i otoczona szczególnym kultem. Jako dogmat sformułowana została przez Ojca św. Piusa XIII w Konstytucji Apostolskiej Munificentissimus Deus w roku 1950. Definicja dogmatu brzmi: „Oświadczamy, stanowimy i wyrokujemy, iż jest dogmatem objawionym przez Boga, że Niepokalana Bogurodzica zawsze Dziewica Maryja po zakończeniu ziemskiego życia wzięta została z ciałem i duszą do chwały niebieskiej".

Dogmat więc stwierdza, że Maryja z ciałem i duszą została wzięta do nieba. Przywilej osobowego Wniebowzięcia Bogurodzicy należy do całości Jej chwały.

Udowadniając objawiony charakter prawdy o Wniebowzięciu Bogurodzicy najwyższy urząd nauczycielski stwierdził, że prawda o Wniebowzięciu należy do jedności depozytu wiary. Świadczy o tym zarówno powszechne i jednomyślne przekonanie wiernych domagających się u Stolicy Apostolskiej sformułowania dogmatycznego tej prawdy, jak i to, że ze względu na jedność treści dogmat o Niepokalanym Poczęciu jest prawdą macierzystą dla dogmatu o cielesnym Wniebowzięciu. Świadectwo tej prawdy znajdujemy w Tradycji w znaczeniu pochodnym.

Maryja zawsze dzieliła los Chrystusa. Chrystus zwyciężył śmierć, Ona więc też musiała ją zwyciężyć i tak jak On wejść razem z uwielbionym ciałem do chwały niebieskiej.

Czyżby jednak tylko te pięć dogmatów miało świadczyć o świętości i doskonałości Matki Bożej? Z dawien dawna Kościół wyznaje i inne prawdy dotyczące Maryi, choć jeszcze nie zdogmatyzowane. Istnieje przeświadczenie Kościoła i wiernych o tym, że Maryja jest Matką chrześcijaństwa, Pośredniczką wszystkich łask, Współodkupicielką, Królową w królestwie Bożym. Niewątpliwie prawdy te z czasem mogą dojrzeć do ogłoszenia przez Kościół jako dogmaty.

Słusznie więc czyni ks. W. Pietkun, omawiając w swojej książce również te prawdy maryjne, które choć jeszcze nie są dogmatami, to jednak nierozerwalnie związane są z osobą Maryi. Nie podobna bowiem mówić o Bożej Rodzicielce, nie mówiąc także o tym, że Maryja jest również Matką naszą, że wraz z Synem swoim nas odkupiła, i że wszystkie łaski, jakie otrzymujemy od Boga, przepływ ją przez Jej ręce.

*

Czy książka ks. Pietkuna „Maryja Matka Chrystusa" spełnia swoje zadanie wprowadzenia nas w zagadnienia dogmatu maryjnego? — Sądzę, że należy odpowiedzieć pozytywnie. Ukazuje się z kart tej książki Maryja, Matka Chrystusa i nasza wyposażona we wszelkie dary, jakimi Bóg mógł Ją obdarzyć. Praca dzięki przystępnej formie, w jakiej została napisana, dostępna jest nie tylko dla teologów, ale i dla katolików nie posiadających wykształcenia teologicznego.

W rozpoczynającym się miesiącu maju poświęconym specjalnej czci Matki Bożej książka ks. Pietkuna przyczyni się niewątpliwie do pogłębienia wśród nas wiedzy o Maryi niejednokrotnie tak niedostatecznej.

Tomasz Kwaśniewski

OBOWIĄZEK TWÓRCZOŚCI

(Dokończenie ze str. 5)

W tych przemyśleniach — jak i w tysiącu innych — pomoże nam spojrzenie na twórczość własną jako na obowiązek.

IX. KAŻDA PRAWDA JEST NASZA

TAK określony stosunek katolików wobec obowiązku twórczości kulturalnej podlega dalszej precyzji, zgodnie z wnioskami pochodnymi z tezy o koniecznej równowadze kontynuacji między dziełem Stworzenia i dziełem Odkupienia.

Jak pamiętamy, jednym z tych wniosków było twierdzenie, iż „skoro katolicyzm traktuje całą historię ludzkości jako wywiązywanie się z zadania kontynuacji działalności Stwórcy, to powinien tkwić zawsze w kierunkach rozwojowych tendencji społecznych" (str 15 przedmowy do „Zagadnień istotnych").

Podejmowane w obozie rewolucji socjalistycznej próby określenia treści społecznej zjawisk kulturalnych — chociaż zasadniczo nikt nie negował funkcji społecznej procesów kulturotwórczych — spotykały się z manifestowaną w różny sposób i przez różne środowiska w innym stopniu nieufnością. Wietrzono w takich określeniach zamach na swobodę aktu kulturotwórczego.

Zgodzić się trzeba, że sporo winy w wytworzeniu niewłaściwej wokół tych zagadnień atmosfery ponoszą ci, którym zależało na najwłaściwszym tych zagadnień rozwiązaniu. Starano się bowiem środkami zbliżonymi do mechanicznych przyśpieszać rozwój świadomości społecznej twórców, która z kolei miała im ułatwić właściwy wybór treści społecznych, właściwą kierunkową rozwoju procesu kulturotwórczego.

Błąd ten powtórzył się w swoistym wariancie w środowiskach katolickich. I tu również społeczne zdeterminowanie kultury pojmowano zbyt wąsko, zbyt mechanistycznie. I tu jednak — podobnie jak w ogólnym klimacie naszego życia i myślenia kulturalnego — błąd ten został naprawiony.

Nie zmienia to jednak faktu, że sama zasada była i jest słuszna, zasada obiektywizowania wartości kulturalnych przez ich funkcję w doskonalącym przeobrażaniu świata. Dzisiaj zasada ta — w świetle przeprowadzonych dotychczas analiz — zyskuje znacznie wyższy autorytet. Jest nie tylko zasadą określającą społeczne walory zjawisk kulturalnych, ale także — jeśli nie przede wszystkim — zasadą wyznaczającą ich wartość moralną i teologiczną, wartość *sensu stricto* katolicką.

Uznając wielką godność tej zasady dbać należy o to, by nie spauperyzowano jej intelektualnie do prymitywnego wyznacznika tego, co w tym czy innym zjawisku jest postępowe, a co wsteczne. Trzeba ten wyznacznik pojmować jak najdojrzalej, w sposób mobilizujący jak najszersze aktywy twórcze, w sposób otwierający przed naszą kulturą jak najszersze perspektywy rozwojowe.

Z drugiej jednak strony godność tej zasady wymaga, aby istotnie stanowiła ona społecznie sprawdzalne kryterium tego, czy dane zjawisko kulturalne lub kompleks zjawisk uczestniczy w doskonalącym przeobrażaniu świata, czy też je hamuje lub — co niemal temu samemu się równa — jest wobec niego bierne.

Niebezpieczeństwu nadmiernego zawężenia lub nadmiernego poszerzenia kryteriów, które równałoby się ich dezawuacji, zapobiec powinna mądrość perspektywicznego widzenia problemu oceny funkcji społecznej zjawisk kulturalnych, to znaczy mądrość widzenia tych zjawisk nie tylko w skali lokalnej i doraźnej, ale także w skali świata i epoki, co oczywiście nie wyklucza przydatnej roboczo hierarchizacji, według tego — właśnie tu i właśnie dzisiaj — co najpotrzebniejsze. Właśnie katolików powinna ta zasada — z wielu względów — obowiązywać przede wszystkim. Przy jak największej dalekowzroczności jak największe precyzje i konkretność, przy jak największej taktowności i rozsądku w formułowaniu ocen zjawisk kulturalnych jak największa jednocześnie surowość i prawdomówność — oto wnioski nasuwające się z siłą koniecznych postulatów w rozważaniu zagadnienia treści społecznych tego, co dzieje się w kulturze.

X. MĄDROŚĆ WIDZENIA SOJUSZNIKÓW

ZNAKAZU wspierania i rozwijania wszystkiego co w kulturze służy doskonalącemu przeobrażaniu świata wynika także nakaz sojuszniczego traktowania tych wszystkich sił, które — choć odmienne światopoglądowo — służą twórczo temu samemu światu i jego lepszemu jutru.

Zrozumienie i dojrzałe przeżycie tej wspólnoty (nie ostatecznych dla nas, ale ważnych dla nas i dla reszty świata) celów powinno w zakresie katolickiego pojmowania obowiązku twórczości kulturalnej pogłębić poczucie współtworzenia zjawisk kulturalnych, powinno pogłębić szacunek i uznanie wobec osiągnięć oraz troskę i szukanie dróg poprawy wobec niedociągnięć pracy kulturotwórczej nie tylko naszej, ale i ludzi innych światopoglądów. Aby świadomość odrębności światopoglądowych nie zasłaniała wspólnoty celów społecznych i na odwrót — trzeba wyciągać wszystkie konsekwencje z faktu, iż — jak to powiedziała cytowana już kiedyś przeze mnie Simone Weil: „Nie istnieje chrześcijański punkt widzenia i inne punkty widzenia, jest tylko prawda i nieprawda. Nie: co niechrześcijańskie jest fałszywe, lecz: wszystko, co prawdziwe, jest chrześcijańskie." Nawet jeśli takie stwierdzenie wyda się komuś niebezpiecznie odważne, na jedno zgodzą się wszyscy: byłoby wielkim błędem patrzeć obojętnie lub — co gorsza — wrogo na prawdę z tej racji, że nie chodzi w naszym ubraniu lub nawet uważa się za kogoś nam obcego.

Ci, którzy nie chcą swojej prawdy poznać u innych, krzywdzą swoją prawdę. Obrażają się o to, że chociaż nie wszędzie pełna, jest ona powszechna.

Powiedzmy bez metafor: nasze współdziałanie z innymi światopoglądami jest współdziałaniem z częścią naszej prawdy zawartą w innych światopoglądach. Zrozumienie tego faktu powinno wiele naprawić — także jeśli idzie i o interesujący nas tutaj specjalnie teren kultury — w naszym stosunku do marksizmu.

Stosunek ten był historycznie skompleksowany. To, że marksiści wyprzedzili nas w zaczęciu realizacji słusznych celów społecznych, zaraziło wielu katolików — świadomych historycznej doniosłości tego zdystansowania — pewnymi urazami.

Najbardziej typowy z tych urazów był kompleks niższości. Jedni pogrążyli się w nim beznadziejnie, wypominając sobie gorzko utraconą szansę, drudzy natomiast ratowali się megalomańską, jakże typową dla tych, którzy nie chcą patrzeć prawdzie w oczy, ucieczką ku nieuzasadnionemu historycznie kompleksowi wyższości. I jedni, i drudzy musieli błądzić w swych masowych przeżyciach. I jedni, i drudzy fałszowali prawidłowy stosunek katolików do marksizmu.

Oczywiście, byłoby błędem ze strony katolików, gdyby historycznego zdystansowania siebie przez marksistów w zakresie postępu społecznego nie traktowali jako zobowiązującego ostrzeżenia, upomnienia i wezwania, ale jednocześnie byłoby błędem, gdyby akceptację i współdziałanie w tym wszystkim, co służy rozwojowi świata traktowali jako mechaniczne czy taktyczne zapożyczenie się w obcym systemie przesłanek i przemyśleń.

W świetle rozumowań cytowanej uprzednio przedmowy Bolesława Piaseckiego do „Zagadnień istotnych", a częściowo i w świetle wywodów tego artykułu współdziałanie katolików z marksizmem w zakresie realizacji słusznych celów społecznych jawi się jako współdziałanie oparte na wspólnych i właściwych w tym zakresie obydwu światopoglądom przekonaniach.

Takie ustalenie motywów współdziałania i wobec katolickiego rozumienia obowiązku twórczości kulturalnej ma ogromne konsekwencje praktyczne. Jest nie tylko wyzwoleniem z kompleksów w każdym wypadku szkodliwych, lecz jest także — a stać się powinno przede wszystkim — wezwaniem do maksymalnej aktywności kulturotwórczej.

*

O kulturze — jak w tuwimowskim wierszu o zieleni — można nieskończenie. Każdy artykuł jest tylko częścią artykułu. Każda praca jest tylko fragmentem większej pracy. Tak i powyższe uwagi są tylko garścią uwag, które mogą zbogacić inni.

Sądzę, że nasze przemyślenia są w tym zakresie zbyt ubogie, aby poprzestawać na ogólnikach, lub — co znacznie gorsze — wikłać się w nieistotne spory. Trzeba zwielokrotnić wysiłki przemyśleń.

A przede wszystkim — zwielokrotnić twórczość.

Zygmunt Lichniak

stolicą świata — przypomniałem przyjacielowi.

— Ale nie stolicą okupowanej Francji. Okupowanej przez aliantów — zaperzył się barman. — Wczoraj Yankesi wyrzucili francuskie kobiety z metro i żaden Francuz nie miał odwagi zaprotestować.

Nagle zakotłowało się przy drzwiach i ucichło.

Dwaj Yankesi o oczach jasnych, nieomal dziecinnych, szli między stolikami w stronę baru. Uśmiechali się do Michelle, życzliwie, ale bez zalotności. Szli wolno roztrącając siedzących przy stolikach Francuzów, nie słysząc syków protestów.

Antoin nie ruszył się z miejsca. Ogromnie nie lubił usługiwać amerykańskim żołnierzom. Tylko sierżant, uniósłszy wysoko kieliszek, zakrzyknął na powitanie przybyłych:

— Vive Americains — Vive Aliens!—Rozsuwał krzesełka tak, żeby Amerykanie mogli wygodnie usiąść koło niego.

I nagle stała się rzecz niezrozumiała dla ludzi siedzących z dala od baru. Sierżant znikł. Nawet my, ze swoich miejsc, nie mogliśmy zauważyć momentu, w którym potężna łapa jednego z Yankesów zmiotła Francuza z barowego stołka. Sierżant natychmiast zerwał się z ziemi i skoczył ku napastnikom. Obudził się w nim obrażony honor chłopca z paryskiego przedmieścia.

— Ici Paris! Nie Chicago! Tu jest Paryż!

Yankes nie reagował. Uśmiechając się nadal łagodnym dziecinnym uśmiechem usadawiał się wygodnie na stołku barowym. Przy bliższych stolikach wrzało od tuszowanego oburzenia. Sierżant grzmiał dalej.

— Gangsterzy!

Wtedy Yankes ujął powoli maleńkiego sierżanta za krawat, uniósł ku górze i nie spiesząc się, uderzył.

Antoin podążający w stronę baru stanął.

Był to ten sam cios, który w Buchenwaldzie złamał mu nos. Na pewno ten sam. Antoin nie mógł się pomylić. Pięść trafiła w podbródek, potem rozcięła wargę i wylądowała u nasady nosa. Sierżant padł w tył z rękami rozrzuconymi jak ptak. Usiłował wstać na zgiętych nogach. Chlustał krwią cieknącą z poranionej twarzy.

— „Deux aperitifs" — rzekł uprzejmie do pobladłej barmanki drugi dryblas. Michelle nalała. Dobrze pamiętała, czym się skończyła poprzednia wizyta podobnych gości.

— A bas! Precz z gangsterami! Nie wolno obrażać w Paryżu francuskich żołnierzy — krzyknęła któraś z dziewczyn. Spojrzała wkoło i nie znalazłszy poparcia u żadnego z mężczyzn wybiegła z lokalu.

— Na pewno sprowadzi milicję — powiedział sąsiad trzymający w ręku Monde z notatką o odznaczeniach.

— Deux aperitifs — zarządził pierwszy Yankes i Michelle zaczęła ponownie nalewać kieliszki. Było cicho. Krzesła koło baru pustoszały. Goście wychodzili z lokalu albo siadali przy dalszych stolikach. W drzwiach ukazały się na moment czapki dwóch francuskich milicjantów i znikły. Barman wiedział z doświadczenia, że zjawią się tutaj ponownie w pół godziny, po wyjściu Amerykanów, ażeby spisać protokół.

Tymczasem w tawernie zbierało się na burzę. Wokół krwawiącego sierżanta przysiadali się coraz liczniej chłopcy dopingowani przez dziewczyny. Yankesi nie mogli nie zauważyć tego, że zbrojono się w butelki, ale nie dawali tego poznać po sobie.

Nieuniknioną awanturę poprzedziło wejście na salę amerykańskiej żandarmerii.

— „Prawo" — rzekł z ulgą w głosie nasz sąsiad.

Antoin wyszedł naprzeciw przedstawicieli władzy. Dopingował go coraz większy huczek oskarżeń.

Tęgi, nieomal kwadratowy sierżant MP grzecznie, ale stanowczo usunął Antoina z drogi i szedł prosto ku Michelle. Drugi spojrzał na okrwawioną twarz francuskiego sierżanta i uśmiechnął się z uznaniem.

— Czy ci boy's zapłacili zapytał żandarm.

— Zapłacili — wykrztusiła ze ściśniętej krtani Michelle.

— A więc wszystko w porządku — zaopiniował komendant patrolu.

— Proszę o quatres aperitifs.

Gwar, jaki panował od chwili wejścia żandarmów, znikł. Słychać było tylko histeryczny krzyk Antoina:

— Nie podawaj! To jest nasze prawo! Tu jest Paryż. Nie nalewaj! Roznosiło go od wewnątrz.

Yankes, ten który stał najbliżej barmana, uśmiechnął się łagodnie, tak jak starsi ludzie uśmiechają się do rozkrzyczanego dziecka.

— Pourquoi? Dlaczego nie nalewać? My jesteśmy goście. Z gośćmi trzeba postępować grzecznie. My prosimy o cztery kieliszki aperitifs.

Kark barmana poczerwieniał. Zacisnęły się pięści. Nienawistnie, wściekle patrzyły oczy Francuza prosto w tamte — łagodne i drwiące.

Wtedy, tak jak w Buchenwaldzie uczynił to Giuseppe Louigi, krzyknąłem głośno: — „Michelle!" Tym razem mój krzyk zdążył na czas. Wspomnienie tamtego ciosu stanęło przed oczyma Antoina tak mocne i straszne, że cofnął się w tył. Cofnął się, ale walcząc z narastającym lękiem powtórzył:

— Nie nalewaj im Michelle!

Yankesi po raz pierwszy spojrzeli uważniej w głąb tawerny. Nie mogli już udawać, że nie słyszą coraz groźniejszego poszumu sali, ale nie chcieli rezygnować z aperitifs. Wtedy stojący tuż przy nich, oparty niedbale o bar, zachłysnął się głośnym śpiewem kapral, który tak jak i Antoin nie lubił zamorskich aliantów. Śpiewał głośno i fałszywie bojową bulwarową piosenkę. Tę samą, którą śpiewano w Paryżu w czasie tamtej, hitlerowskiej okupacji, ku wściekłości rodzimych i niemieckich faszystów.

— „A bas les ennemis, a bas..." *)

Stojąc na baczność, wszyscy: i pobity sierżant, Antoin, chłopcy z pobliskiej garbarni i ich dziewczęta, wspaniałe towarzyszki tych Francuzów, którzy w Resistance przeszli do nowej walki o pokój i my — różnojęzyczni towarzysze tych z Resistance — skandowaliśmy bojowe słowa refrenu.

Yankesi powoli ruszyli ku wyjściu.

I wtedy w oczach tego blondyna, który uderzył francuskiego sierżanta, dostrzegłem strach. Zwierzęcy. Taki sam, jaki widywaliśmy u buchenwaldzkich SS-manów wyciąganych przez uwolnionych już więźniów, z obozowych zakamarków.

— „A bas, les ennemis" — śpiewała sala, a cztery nie nalane kieliszki mówiły mi, że nie nadeszła jeszcze pora na wychylenie naszych „quatre aperitifs", które mieliśmy przecież wypić już jako ludzie wolni na wieczne panowanie słowa Pokój.

— Precz z wrogiem, z wrogiem precz —
bij pięścią jeśli ci wytrąca miecz,
bij faszystów, bij faszystów
z całych sił
do ostatnich serca drżeń, i krwi
z żył...

Pieśń coraz donioślejsza, coraz bardziej powszechna, ściągała do tawerny nowych gości. Przysiadali się do stolików i podchwytywali słowa piosenki. Byli uśmiechnięci i poważni. Przypomnienie tamtej, stoczonej już walki łączyło tych nieznających się ludzi.

Antoin ocierał rękawem czoło, zwykłym u niego gestem. Czynił go zawsze w chwilach zastanowienia. Na pewno takim ruchem tarł czoło, kiedy werbowano go do Resistance, kiedy otwierał nocą drzwi swej tawerny dla wpuszczenia nie meldujących się gości, lub wtedy, kiedy instalowano w jego magazynku radiostację.

Kieliszki ustawiane na szklanej półce zdradzały cichym dźwięczeniem drżenie palców Antoina. Jeszcze przeżywał zajście. Jeszcze był w nim bunt.

— Miał rację Rus. Wolności nikt nam nie da. Trzeba będzie jeszcze się o nią bić.

Antoina odwołano do stolików, gdzie stojąc z kieliszkami w rękach chłopcy w błękitnych kombinezonach śpiewali nie wiadomo po raz który: „A bas, les ennemis, a bas..."

Większość śpiewających miała zaciśnięte pięści podniesione do góry.

Czesław Ostańkowicz

*) Piosenkę śpiewano w latach 1940—1945 w Paryżu przeważnie na przedmieściach i w dzielnicach studenckich.

W następnym numerze tygodnika „Dziś i Jutro" zostanie podany termin ogłoszenia wyników konkursu na reportaż pt. „Na drogach ku Polsce Ludowej".

REDAKCJA

CZYTAĆ — NIE CZYTAĆ?

A. J. CRONIN: Cytadela. Tłum. Józef Szpecht. Przedmową opatrzył Zygmunt Lichniak. Wydawnictwo PAX. Warszawa. 1954, s. 335.

Szkic Zygmunta Lichniaka umieszczony na wstępie najnowszego wydania „Cytadeli" wyznacza współrzędne ideologiczne talentu pisarskiego i popularności Cronina. Szkic ten jest rozrachunkiem z Croninem — katolikiem, Croninem — ideologiem, może najmniej z Croninem — pisarzem. A przecież popularność angielskiego pisarza w Polsce, sympatia, jaką się cieszy między innymi jego utworami i „Cytadela" — mają swe źródło w dużej mierze w „chwytliwości" koncepcji twórczych Cronina, w tym, co czyni jego książki cenną i poszukiwaną lekturą wypoczynkowo-rozrywkową, dobrą do poduszki, do zabicia nudy jazdy tramwajem czy pociągiem.

Ale z tego punktu widzenia przedmowa Lichniaka okazuje się właśnie bardzo potrzebna. Przypomina ona o istotnym, społecznym aspekcie dziejów dr Andrzeja Mansona — historii, której żywa i barwna narracja przesłania czytelnikowi ten właśnie aspekt. Co tu dużo mówić: przy lekturze „jednym tchem" gubi się najczęściej jakąś głębszą refleksję nad sensem rzeczywistości i ludzi, których oglądamy oczyma pisarza — uwaga zostaje w całości pochłonięta śledzeniem perypetii wątków, szukaniem odpowiedzi na pytania: „pobiorą się, czy nie", „ujdzie z życiem, czy nie" itp. Tak może się stać i przy spotkaniu z „Cytadelą". Walka Andrzeja i jego żony, Krystyny, z innymi i ze sobą, o właściwy sens zawodu lekarskiego, o wierność własnemu powołaniu życiowemu — do takiej „idei" książki Cronina dochodzimy dopiero po pewnym czasie, po ochłonięciu z emocji obserwowania wypadków, toczących się w naszej wyobraźni z szybkością filmu sensacyjnego. Oskarżenie kapitalizmu, który wywołuje wykoszlawienie, wręcz wynaturzenie sensu pozostawania lekarza w służbie chorego — to sprawa, na którą natrafiamy dopiero po namyśle, jeśli przyzwyczailiśmy się ujmować świat i życie w kategoriach społecznych.

„Cytadela" Cronina należy zatem do utworów literackich specyficznego rodzaju, ale bardzo pożądanego przez szarego czytelnika — gdzie atrakcyjność fabuły, żywość i plastyczność opowiadania, umiejętność uczynienia losu bohatera sprawą najważniejszą w czasie lektury, przykucia do niej po prostu czytelnika wybijają się na plan pierwszy. Cronin stopił bowiem w swoim utworze kilka odmian powieści szczególnie pobudzających wyobraźnię i ciekawość czytającego. Są w „Cytadeli" elementy, a nawet całe partie powieści awanturniczej, sensacyjnej, a nawet kryminalnej. Autor „Cytadeli" wykorzystuje do tego całą gamę środków pisarskich działających doraźnie, a przy tym bardzo sugestywnie: od tragizmu do satyry przechodzącej niekiedy nawet w groteskę. Cóż dziwnego, że „Cytadela" należy do książek przechodzących dosłownie z rąk do rąk, a jej bohaterowie i ich losy są nieraz obiektami zaciętych sporów i dyskusji...

Jest takie niepisane, ale potwierdzone przez historię literatury prawo, że pisarz zalety swoich utworów, często nawet całej swojej twórczości musi okupywać niedociągnięciami i wadami literackiego rzemiosła. Tak jest i z „Cytadelą". Atrakcyjność akcji, zdecydowana sympatia lub... antypatia, jaką wywołują poszczególne postacie — znajdują w „Cytadeli" swoistą „rekompensatę" w braku pogłębienia psychologii bohaterów, w zachwianiu równowagi kompozycyjnej utworu. Chciałoby się więc wiedzieć więcej nie tyle o losach Andrzeja i Krystyny Mansonów — nie mówiąc już o licznych postaciach drugoplanowych — ile o nich samych, o ich sposobie wewnętrznego przeżycia świata i ludzi. Cronin — nie tylko zresztą w „Cytadeli" lubi dotykać faktów i spraw ludzkich niejako „z wierzchu"; korzenie, łączące je z podłożem społecznym i psychicznym są zredukowane — po odcięciu wielu drobnych i subtelnych odgałęzień — do kilku grubych kłączy. Dlatego też wiedza o człowieku, którą czytelnik wynosi z „Cytadeli", wymaga uzupełnień i interpretacji w rodzaju przedmowy Lichniaka.

Łatwo więc z wszystkoistycznych pozycji rzucić kamień potępienia na „Cytadelę" — i zapomnieć przy tym o ważnej, genetycznej przesłance tej książki, zarówno jak całej twórczości Cronina. Omawiany utwór, podobnie jak „Nocny dyżur", a przede wszystkim „lekarskie" partie innych utworów angielskiego pisarza nawiązują wprost do autobiografii Cronina, są jej przetworzonymi artystycznie fragmentami. Trzeba przy lekturze „Cytadeli" pamiętać o tym, że lekarz A. J. Cronin sięgnął po pióro wówczas, d o p i e r o wówczas, kiedy nie potrafił sobie i ludziom odpowiedzieć inaczej na dręczące go pytania związane ze stanem brytyjskiej i... nie tylko brytyjskiej służby zdrowia. Nie co innego, a właśnie ten autentyzm decyduje naprawdę (bo przecież my wszyscy od czasów dzieciństwa lubimy nade wszystko wiedzieć, jak to było naprawdę) o atrakcyjności i o... wartości „Cytadeli".

Zapewne: prawda „Cytadeli" ukryta jest nie w trudnych sformułowaniach, ale w łatwych, może nawet czasem w zbyt łatwych, jak gdyby zbyt śliskich do uchwycenia przez rozumową refleksję faktach. Ale ta prawda o fałszywych blaskach i prawdziwych nędzach życia i pracy lekarza w kapitalistycznej Anglii jest podana w sposób bardziej przekonujący, niżby to uczyniła publicystyka. I dlatego „Cytadela" jest powieścią, do której warto zajrzeć i — wrócić...

Zbigniew Pędziński

Aktualia księgarniane:

PRZEKŁADY

NARESZCIE dotarła do naszych rąk powieść I l j i E r e n b u r g a **„Odwilż"** (PIW). Piszę: dotarła, mysię: nie do wszystkich. Nakład jak zwykle, jeśli chodzi o „delikatesy" wydawnicze, za mały. Książka jest już rozchwytana. Nic w tym zresztą dziwnego. Powieść posiada duże wartości literackie, a przede wszystkim uderza swą odwagą w ukazywaniu człowieka takim, jakim jest, bez szminki. Realizm psychologiczny, serdeczny humanistyczny stosunek do opisywanych ludzi i zdarzeń, to główne walory tej niezwykłej książki. W popularnym wydaniu prasowym ukazała się powieść tegoż autora **„Dziewiąta fala"** (3 tomy. PIW).

Skoro już jesteśmy przy współczesnej prozie radzieckiej, warto wspomnieć o wydanej przez „Czytelnika" powieści gruzińskiego pisarza J a k i n t e L i s a s z w i l i **„Ich młode lata"**. Powieść mówi o wielkim rewolucjoniście gruzińskim Ładо Kecchowelim, o jego dziecińśtwie i młodości wypełnionej walką przy boku Józefa Stalina o rozwój idei rewolucyjnych w Gruzji.

Z klasyki rosyjskiej mamy dalszy tom **„Pism wybranych"** L w a T o ł s t o j a: **„Hadzi Murat i inne opowiadania"** oraz pięknie wydane wznowienie **„Cichego Donu"** S z o ł o c h o w a (2 tomy, oprawa płóc. PIW).

„Ośmiornica" F r a n k a N o r r i s a to świetna powieść postępowego pisarza amerykańskiego z początku bieżącego wieku, o życiu drobnych farmerów. Problematyka społeczna (walka z naciskiem ekonomicznym koncernów) łączy się w tej powieści z ciekawą, żywą fabułą i pięknymi, wręcz poetyckimi opisami przyrody. Z literatury amerykańskiej mamy jeszcze nową powieść H o w a r d a F a s t a **„Sacco i Vanzetti"** o tragicznych losach dwóch niewinnie skazanych i straconych w latach dwudziestych robotników amerykańskich.

Duże zainteresowanie czytelników wzbudziło ukazanie się **„Losu"** C o n r a d a (PIW), powieści po raz pierwszy wydanej w Polsce. Powieść ta jak wiele innych utworów Conrada, skomponowana w formie opowiadania Marlowe'a, jest jednym z najbardziej „lądowych" dzieł pisarza. Nie przeszkadza jej to pulsować głębokim „morskim" oddechem i promieniować pięknym słowem conradowskiej prozy (przekł. Wandy Tatarkiewicz).

W ostatnim czasie otrzymaliśmy aż trzy tomy dzieł znanego współczesnego pisarza niemieckiego F r y d e r y k a W o l f f a. Są to: **„Mane-Tekel czyli Latające talerze"** — znakomita, dowcipna powieść o współczesnych Stanach Zjednoczonych — oraz dwa grube tomy **„Dramatów"** (PIW). Wybór dramatów, jak twierdzą krytycy, nie jest przemyślany. Zgoda na **„Marynarzy z Cattara"** (Bunt marynarzy austriackich w czasie pierwszej wojny światowej), **„Profesora Mamlocka"** (Niemcy w przeddzień dojścia Hitlera do władzy), czy nawet **„Tomasza Müntzera"**. Zamiast jednak **„Narodzin Figara"** czy **„Sołtysa Anny"** wolelibyśmy otrzymać teksty **„Cjankali"** lub **„Tai-yang budzi się"**.

Przyjemną niespodziankę zrobiło „Ossolineum" udostępniając nam w ramach Biblioteki Klasyków Pedagogiki dzieło wybitnego filozofa francuskiego J. J. R o u s s e a u; powieść — traktat pedagogiczny **„Emil"**. W książce tej wyłuszcza autor w formie zbeletryzowanej najistotniejsze punkty swego systemu filozoficzno-wychowawczego. Przełożyli „Emila" B. Husarski i E. Zieliński. Wstęp J. Legowicza.

Pokrewnym **„Emilowi"** dziełem jest wydana przez toż samo wydawnictwo praca wielkiego pedagoga włoskiego H. P e s t a l o z z i e g o: **„Jak Gertruda uczy swoje dzieci"**.

Pełną uroku książką są **„Stare podania czeskie"** A. J i r a s k a (przekł. M. Erhardtowej, posłowie J. Ślizińskiego, ilustracje M. Alša i A. Procházki, PIW). Po raz pierwszy wydany w Polsce zbiór zawiera około 20 pięknych poetyckich legend i baśni. Szczególnie nastrojowe są podania o Starej Pradze. O życiu współczesnej wsi słowackiej mówi dwutomowa powieść Fr. H ē c k i **„Drewniana wieś"** wydana przez PIW. Również PIW wypuścił nowe edycje **„Don Juana"** B y r o n a, **„Cierpień młodego Wertera"** G o e t h e g o, **„Pierścienia i róży"** T h a c k e r a y a oraz wydał znany z występów „Theatre National Populaire" dramat V. H u g o **„Ruy Blas"**.

„Iskry" wznowiły bardzo popularną i wśród dorosłych („Czterdziestu ludzi na umrzyka skrzyni, hej, ho i butelka rumu" — pamiętacie?) **„Wyspę skarbów"** R. L. S t e v e n s o n a. „Nasza Księgarnia" przypomniała tak pamiętną od czasów naszego dzieciństwa, wzruszającą historię **„Chłopców z Placu Broni"** M o l n a r a.

Niniejsze **„aktualia"** są zasadniczo poświęcone wyłącznie przekładom: nie mogę się jednak oprzeć uczuciu wypełniającej mnie radości z powodu pojawienia się od dawna oczekiwanych **„Wierszy wybranych"** J ó z e f a C z e c h o w i c z a (Czyt.). Obszerny wybór gromadzi większość wierszy zawartych w tomikach **„Kamień"**, **„Dzień jak co dzień"**, **„Ballada z tamtej strony"**, **„Z błyskawicy"**, **„Nic więcej"**, **„Nuta człowiecza"** oraz liczne przekłady z poetów rosyjskich, ukraińskich, francuskich i anglosaskich. Nie trzeba dodawać, że pierwszy rzut nakładu znikł bez śladu! Czekamy teraz „w pogotowiu bojowym" na mającego się ukazać lada chwila L e ś m i a n a.

Zbigniew Dolecki

MŁODEGO KRYTYKA

odpornionego na infekcję nudy i schematu. Dlatego prośba i ostrzeżenie pod adresem redakcji i wydawnictw: trochę bardziej przemyślnie i pedagogicznie dobierajcie tematy prac dla młodych krytyków! Pamiętajcie, że oni także muszą napisać czasem o dobrych i wartościowych utworach...

Winę za schematy krytyczne ponoszą jednak — jak już o tym mówiłem — i sami krytycy... Tyle, że ta wina jest znowu indywidualna i zbiorowa, rozkłada się na czynniki wewnętrzne i okoliczności zewnętrzne. Wciąż jeszcze krytykiem jest krytyk z bożej łaski, w której inni ludzie nie mają prawie żadnego udziału. Do krytyki literackiej bierze się zazwyczaj adept (z dyplomem lub bez) filologii polskiej albo obcej. Na studiach nie otrzymuje prawie żadnego przygotowania do tego zawodu, a jeśli mu się wydaje, że je otrzymał — wówczas pakuje do swoich artykułów i recenzji mnóstwo seminaryjnych analiz i ocen, czyli w praktyce schematów i cenzurek w sensie tak ideowym, jak i artystycznym... Recenzja zamienia się wtedy (zależnie od temperamentu krytyka) w wypracowanie lub paszkwil, który najbardziej szkodzi właśnie jego autorowi. Ale młody krytyk jest zdezorientowany: na uniwersytecie powiedziano mu, że krytyka jest nauką, w pismach czyta od czasu do czasu, że krytyka jest sztuką — z powstałego na skutek tego zamętu w jego głowie rodzą się płody, których mimo najszczerszej chęci nie można zaliczyć do żadnej z tych dwóch dziedzin myśli. Stawia się mu za dużo postulatów od razu: żąda się, aby jego recenzja była wyczerpująca, dokładna i obiektywna w swoich wypowiedziach i ocenach, naukowa a zarazem popularna, jednoznaczna w sformułowaniach a jednocześnie nieskazitelna stylistycznie. Młody krytyk stara się, jak może, i oto spod jego pióra wychodzą jakieś zlepki, gnieciuchy literackie, o wszystkoistycznym kształcie, schematycznym zapachu i łopatologicznym smaku. Pisarz po spożyciu takiego gnieciucha wymiotuje, czytelnik (ten szary) dostaje niestrawności i nie chce patrzeć w ogóle na krytyki i eseje — oblizuje się jedynie niejeden starszy czy młodszy kolega po piórze...

Krytyk literacki musi pamiętać o tym, że: nie musi i nie powinien napisać o książce i pisarzu wszystkiego, co wie — że wypowiada osobiste sądy, za które ponosi osobistą odpowiedzialność. Rozważmy te przesłanki po kolei.

Panowała u nas i jeszcze panuje u niektórych krytyków i redaktorów moda na tzw. krytykę obiektywną. Cóż to za dziwo? Naiwny a zdrowo myślący sądziłby, że chodzi tu o to, aby krytyk motywował swoje sądy, aby możliwie jak najbardziej solidnie i wyczerpująco opracowywał obrany temat. Ale tutaj występuje znamienne „przegięcie" pałki. Motywacja własnych sądów zamieniła się na sumienne wypranie ich z jakiegokolwiek odcienia osobistego wrażenia i odczucia. Czytając wiele współczesnych (i własnych) krytyk mamy wrażenie, że znajdujemy się wśród bogów na Olimpie dumnie i nieodwołalnie ferujących swoje wyroki. Tu właśnie bierze początek owa łopatologia krytyki współczesnej — bo któreż sądy można wypowiadać autorytatywnie, jeśli nie takie, które są wspólne wszystkim, a w konsekwencji nie ciekawią swą „odkrywczością" nikogo. Z chęci zadośćuczynienia postulatom tej „obiektywnej krytyki" płyną też po większej części owe schematy krytyczne, rozpatrywanie najpierw treści ideologicznej, a potem formy artystycznej utworu, przymierzanie ich do niby własnej (a jakże mało własnej) ideologii i teorii literatury, wyznaczanie danemu utworowi miejsca w ewolucji pisarza przypominające przybijanie szczebelka do drabinki itd. itd. Wszystko to składa się po pewnym czasie na niebogaty arsenał schematów pojęciowych i terminologicznych, schematów kompozycyjnych, schematów oceniających — który to arsenał krytyk eksploatuje, jak może. U krytyków młodych — i nie tylko młodych — zanika jakoś przekora intelektualna, każąca artykuł rozpocząć od środka analizowanego problemu, odświeżająca, stawiająca nieraz na głowie w nowym nieoczekiwanym kontekście terminy i pojęcia wydobywające indywidualne oblicze utworu czy pisarza. Jeden Kott, czy Lichański nie starczą tu zaprawdę za miliony...

Oj ta przekora, w swym najbardziej zdrowym znaczeniu oznaczająca pójście pod prąd przeciw bezwładności i — rodzącej się z niej nieraz — głupoty opinii ludzkiej... Prawda, ożywiło się u nas od niedawna z dyskusjami i polemikami, tylko że... osobisty udział pisarza, a zwłaszcza krytyka w dyskusji wyraża się najczęściej w kierowaniu osobistych — mało nieraz wybrednych — uwag pod adresem przeciwnika... Proszę nie sądzić, że jestem przeciwnikiem dowcipów i złośliwości w esejach i recenzjach — dodaje to przecież smaku owym publikacjom. Ale jeśli krytyk osobiste zaangażowanie się w artykule wyraża jedynie w krzyku: „jestem przeciwko panu X, który jest durniem, a jego książka jest bzdurą"— taka „osobistość" sądów cechuje również przekupki na targu... Krytyk wówczas osobiście się angażuje w swojej pracy, kiedy za każdy wypowiedziany w niej sąd ręczy całym sobą, swoją pracą, swoimi poglądami ideowymi i estetycznymi. Sofistyka i sofizmaty — oto nieegipskie plagi, które gnębią współczesną młodą i niemłodą krytykę! Ale to już zahaczą o sprawy podwójnej moralności krytyka, na które jeszcze nie czas...

Pełna odpowiedzialność za wygłaszane przez siebie sądy pociąga za sobą zazwyczaj oryginalność poglądów ideowo - artystycznych krytyka. Ta oryginalność nie jest sprawą prostą... Młody krytyk przerzuca się tutaj z jednej skrajności w drugą — co znajduje najlepszy wyraz w jego stosunku do wypowiedzi (na ten sam temat) kolegów po piórze. Albo więc idzie po linii najmniejszego oporu cytując poprzedników, ile się tylko da (por. elaborat W. Kosa: „Wietnam, Wietnam..." w „Tygodniku Powszechnym"), albo staje okoniem przeciwko wszystkim wysuwając tezy tyleż oryginalne ile dziwaczne i ekstrawaganckie. Słuszność jak zwykle leży pośrodku. Myślę, że właśnie w krytyce literackiej można zaobserwować najlepiej tzw. poligenetyzm idei, czyli wpadnięcie kilku krytyków — niezależnie od siebie — na ten sam pomysł, na tę samą koncepcję ujęcia książki i jej autora. Oczywiście, nie może to być wygodną furtką dla dokonywania z zimną krwią plagiatów — ale zbyt mało widzę w esejach i recenzjach nawiązywania do prac innych krytyków. Oryginalność za wszelką cenę jest podwójnie szkodliwa — z jednej strony bowiem kilka prac współczesnych krytyków o tym samym utworze, czy pisarzu może wywołać w głowie czytelnika doskonały mętlik, z drugiej zaś wszystko to jest wyrazem nie czego innego, jak pychy krytyka... (Znowu wkraczamy w etykę...) Krytyk musi w swojej pracy zadecydować, z którymi swoimi poprzednikami (w temacie) się zgadza, a z którymi nie — i te decyzje musi u m o t y w o w a ć — na to nie ma rady!

W rejestrze grzechów zawinionych przez młodą krytykę widnieje dalej n i e d o k s z t a ł c e n i e l i t e r a c k i e — i nie tylko literackie... Brzmi to paradoksalnie, ale na ogół krytycy czytają mało — poza tymi pozycjami, które opracowują. A przecież krytyk powinien odznaczać się erudycją — w najbardziej mądrym tego słowa znaczeniu. Idzie przede wszystkim o to, aby pisarza czy utwór ujmować w całym ich kontekście — na to jednak trzeba znać (z grubsza przynajmniej) okres, zjawisko, gatunek literacki, o których się pisze. Prywatna lektura jest obowiązkiem krytyków literackich, a jego niespełnienie mści się na każdym artykule w postaci mniej lub więcej jawnych błędów i niedopowiedzeń. Lektura ta nie może być jednak tylko literacka...

Wkraczam tu już wyraźnie na własne podwórko i zwracam się bezpośrednio do siebie i innych kolegów piszących na łamach katolickich czasopism społecznych. Współrzędne wyznawanego przez nas światopoglądu: katolicyzm i postępowość społeczna — niejednakowo, a często wcale nie występują w naszych pracach krytycznych. Nie chodzi tu o łatwe wulgaryzatorstwo i cytatologię — niemniej sądzę, że artykuł krytyka literackiego w „Dziś i Jutro", „Tygodniku Powszechnym" czy „Życiu i Myśli" powinien mieć jakieś szczególne piętno (w najlepszym znaczeniu tego określenia) tłumaczące, dlaczego został opublikowany akurat w tym, a nie w innym czasopiśmie. Nie można znowu popadać w skrajności: albo stosować zdobycze metody marksistowskiej, nie ujawniając w niczym, ale to w niczym własnego katolicyzmu, który tę metodę twórczo modyfikuje (co udowadniają prace prof. Skwarczyńskiej) — albo też wyznawać absolutny i... abstrakcyjny estetyzm z lekka zabarwiony katolicyzmem.

Jasna decyzja światopoglądowa przywodzi na myśl sprawę niesłychanie ważną, do której moje rozważania wielokrotnie nawiązywały: etykę krytyka! Mimo że pod tym względem jest w naszej literaturze współczesnej dużo lepiej aniżeli w latach międzywojennych — wiele pozostaje jeszcze do zrobienia. Należy przede wszystkim zlikwidować (zaczynając oczywiście od siebie) podwójną moralność krytyka sprawiającą, że krytyk inaczej myśli — a czasem i mówi — o utworze czy literacie, a inaczej pisze. Przy powstaniu takiego dualizmu odgrywają rolę najczęściej względy osobiste, wzgląd na politykę redakcyjną czy ogólnokulturalną itd. Szkody wynikające z takiego stawiania sprawy są nieobliczalne i dotykają tak pisarza i czytelnika, jak i samego krytyka. I skutkiem jest najczęściej — równoległe do dualizmu poglądów krytyckich — dualizm opinii: prywatnej (czyli plotki) i publicznej (wyrażonej w gazetach i książkach). Często krytyk sam podcina gałąź, na której siedzi — pragnąc bowiem usprawiedliwić i... anulować swoje sądy wyrażone publicznie, informuje prywatnie o własnych prawdziwych poglądach i podrywa tym samym nieuchronnie, a często nieodwracalnie zaufanie czytelnika i pisarza do siebie i do krytyki literackiej w ogóle. W taki też sposób starsi krytycy często deprawują swoich młodszych i młodych kolegów po piórze...

Cóż z powyższych rozważań wynika? Niewątpliwie to, że praca krytyka literackiego należy do gatunku najbardziej trudnych, i odpowiedzialnych, że łatwo młodemu krytykowi zwichnąć się, skrzywić, wypaczyć. Oczywiście nie wszystkie niebezpieczeństwa grożące krytykowi, a opisane przeze mnie, były moim własnym udziałem — chociaż o wielu błędach „mówię, bom smutny i sam pełen winy"... Wielu spraw nurtujących młodą krytykę literacką nie poruszyłem, gdyż artykuł mój rozrósł się i tak do grożących nudą rozmiarów. — I dlatego proszę, ale to n a p r a w d ę proszę starszych kolegów po piórze i moich rówieśników, czytelników krytyk literackich i „obrabianych" przez nie pisarzy: zabierzcie głos! Powiedzcie, co wam się nie podoba w moich pracach i pracach innych, co należałoby zmienić, udoskonalić we współczesnej, a zwłaszcza katolickiej krytyce literackiej! Nie chcę być posądzony o naiwny entuzjazm, ale myślę, że po uczciwej dyskusji na temat krytyki literackiej wiele się w niej może, m u s i zmienić na lepsze! I dlatego piszcie...

Zbigniew Pędziński

JAN KOWALSKI

NIEDOBRA WYSTAWA DOBREJ GRAFIKI

DZIWNA Wystawa. Stłoczone, jeden blisko drugiego wiszą plakaty. Wyglądają jak zwierzęta w ogrodzie zoologicznym. Dobre, ciekawe zwierzęta w źle urządzonym ogrodzie. Przyzwyczajone do przestrzeni, do wolności — tu duszą się i marnieją w ciasnych klatkach. Plakat — plastyczna gazeta — potrzebuje powietrza, potrzebuje ulicy, żeby żyć. Tutaj dzieci ulicy powtłaczano do ciasnego, przepełnionego internatu. Za dużo, za gęsto, za objicie obiepiono ściany Zachęty plakatami. Dobry plakat w tak wielkiej masie przerodził się w tapetę. Czy nie właściwsze byłoby urządzenie takiej wystawy w lecie, na wolnym powietrzu?

Najbardziej na tym traci Trepkowski. Poświęcono mu osobną salę. Sala jest upchana jak worek, po brzegi, po sufit. Magiczne, plakatowe symbole Trepkowskiego kłócą się i atakują między sobą. Człowiek głupieje w tym czworościennym podręczniku graficznej algebry. Emocja i zaczepność plakatów Trepkowskiego rozładowuje się przy tej ilości gęsto upchanych eksponatów. Czego tu nie ma. Są nawet szkice i projekty. Materiał na trzy sale tej wielkości. Lepiej uczczono by Trepkowskiego dając jego plakatom więcej przestrzeni. To byłby lepszy hołd od paru zwiędłych goździków.

Ilustracje i okładki książek są równie stłoczone jak plakaty. Budzi to jednak mniejsze sprzeciwy poprzez samą kameralność eksponatów, oraz w większości wypadków, ich mniejszą od plakatu atrakcyjność. Inna sprawa, że koń z rzędem powinien czekać w hallu Zachęty dla tych, którzy w ciągu jednego razu potrafią uważnie obejrzeć te wszystkie rysunki i grafiki.

Takie są pierwsze wrażenia. Wrażenia dotyczące przede wszystkim samego urządzenia wystawy. Wrażenie drugie — pod warunkiem pewnego wysiłku wyobraźni pozwalającej oglądać prace graficzne w innym, korzystniejszym otoczeniu i innych warunkach — to uczucie pewnej radości. Wreszcie istnieje jakaś wystawa plastyki polskiej, w której nie odnajduje się po kolei wszystkich możliwych błędów, dostępnych malarstwu i rzeźbie. Plakat polski — obok rysunków Kulisiewicza — to z pewnością dwa najmocniejsze atuty naszej plastyki.

Trudno wymieniać po kolei wszystkich grafików, których reprezentuje kilka, nieraz kilkanaście plakatów. Są to zwykle plakaty na bardzo różnym poziomie — ten sam twórca obok plakatów świetnych, udanych, pokazuje inne, czasem krańcowo różne. Jest to niemal zasadą u wszystkich wystawiających.

Ciekawy wniosek nasuwa się po obejrzeniu całej wystawy. Z zasady (z wyjątkiem Trepkowskiego), najbardziej plastycznie udane i najciekawsze są plakaty kinowe. „Urok szatana" i „Pierwszy po Bogu" Tomaszewskiego, „Dzień bez kłamstwa" Srokowskiego, „Proces przeciwko miastu" W. Zamecznika, „Celuloza" i „Cena strachu" Lenicy — to wszystko plakaty na prawdziwie wysokim poziomie. Najwięcej kłopotu sprawia plastykom temat polityczny — najtrudniej na tym polu znaleźć rozwiązania zadowalające. Dopiero patrząc na plakat polityczny w pełni uświadamia się stratę jaką poniosła grafika przez śmierć Trepkowskiego. Jak dotychczas chyba on jeden potrafił nadać temu gatunkowi plakatu przekonywającą i w pełni artystyczną formę.

Jaka może być przyczyna tej uprzywilejowanej pozycji plakatu kinowego? Przede wszystkim różnorodne możliwości określenia specyfiki filmu środkami plastycznymi. Temat filmu nie jest tak ściśle sprecyzowany, jak polityczne hasło; można go interpretować w bardziej swobodny i dowolny sposób.

Mimo tych zastrzeżeń przeciętny poziom większości wystawionych plakatów jest dość wysoki. Z wyjątkiem kilku plastyków, którzy, jak Jagodziński — z wielką konsekwencją utrzymują swoją twórczość na poziomie malowanek o bardzo wątpliwych wartościach plastycznych — wiele plakatów, a wśród nich wiele prac młodych grafików (Pałka) zwraca uwagę swoją trafnością i artyzmem.

Cechą polskiego plakatu — odróżniającą tę gałąź plastyki od malarstwa — jest jego niezaprzeczona współczesność. To plakat na dobrym europejskim poziomie, nie mający nic wspólnego z zaściankowością cechującą nasze malarstwo. Posługuje się współczesnymi środkami wyrazu, jest odważny w symbolice i skrótach. Jeżeli zarzucano naszym grafikom, że wzorują się niekiedy na plakatach zachodnich, to zarzuty te nie zawsze były słuszne. Graficy śledzili przemiany jakim ulegała plastyka w ostatnich dziesiątkach lat. Potrafili z tych przemian wyciągnąć wnioski, nadążali za ogólnym rozwojem. Stworzyli zresztą grafikę o charakterze specyficznie odrębnym od plakatu zachodniego.

O ile plakat posiada współczesny charakter, nie zawsze można to powiedzieć o ilustracjach książkowych. W większości są to zresztą ilustracje do dzieł klasyków, które swoim XIX-wiecznym charakterem mają tym wierniej oddawać nastrój epoki. Ciekawe tylko, że jeśli akcja utworu dzieje się w wiekach wcześniejszych — ten XIX-wieczny charakter ilustracji znajduje również pełne zastosowanie. Gdzie logika? Po co w takim razie mówić o epoce. Mniej lub bardziej eklektyczny czy akademicki rysunek drobiazgowy, gadatliwy; rysunek, na którym „wszystko widać" — to po prostu jest metoda ilustrowania książek stosowana z powodzeniem przez wielu grafików.

Czy to metoda słuszna? Z pewnością nie. Mimo pozorów, mimo całych koniecznych studiów historycznych — metoda nie najtrudniejsza. Ilustracje w książce wydanej w XX w. powinny mieć cokolwiek choćby z charakteru współczesnej plastyki. Niestety zwykle nie mają. Zresztą ten współczesny charakter nie zaprzecza przecież rzetelnym studiom nad epoką, w której dzieje się akcja książki.

W najszczęśliwszym stosunkowo położeniu są wydania współczesnej poezji, do której pasuje zresztą idealnie charakter współczesnej grafiki. Ciekawe i ładne rysunki Bogusza do utworów Rimbauda, ilustracje Rechowicza do poezji Rostworowskiego — Jaworowskiego do Nerudy, czy Tomaszewskiego, do Gałczyńskiego, to ciekawsze eksponaty na wystawie ilustracji.

Rozwiązania okładek książkowych są stosunkowo najmniej irytujące. Mimo że większości z nich nie można postawić żadnych konkretnych zarzutów — bo są plastycznie przyzwoite — przechodzi się obok nich obojętnie. Nie mają zaczepności, a okładka powinna w pewnym chociaż stopniu posiadać tę cechę, która w tak silnym stopniu charakteryzuje plakat. Najciekawszą pozycją są okładki Młodożeńca, odważnie rysowane, świeże i dźwięczne w kolorze.

Wydawnictwa PAX reprezentowane są na wystawie barazo skromnie w postaci rysunków Rechowicza i okładek Niemirskiego. Przyczyną tego nikłego udziału jest przede wszystkim fakt, że większość wydawanych przez Pax książek stoi pod względem opracowania graficznego na niskim, albo w najlepszym razie na średnim poziomie. W całej pracy Wydawnictwa odczuwa się bardzo widoczny brak udziału plastyków, brak głosu doradczego przy ocenie poszczególnych okładek, zbyt nikły udział kryteriów plastycznych. Okładki Niemirskiego — z których jedną („Noc jest moim światem") można zaliczyć do lepszych spośród pokazanych na wystawie okładek — stoją na przeciętnym, średnim poziomie.

Spośród wielu kryteriów decydujących o okładce — treść i charakter książki, epoka, w której dzieje się akcja — względy plastyczne są względami nadrzędnymi. Grafik musi respektować założenia decydujące o charakterze okładki, kształtować swoją grafikę w myśl tych założeń — ale nie podporządkowywać plastyki wymaganiom, które względy plastyki zupełnie eliminują.

Henryk Tomaszewski (1954)

Jerzy Jaworski — Ilustracja do książki P. Nerudy — Pieśń powszechna

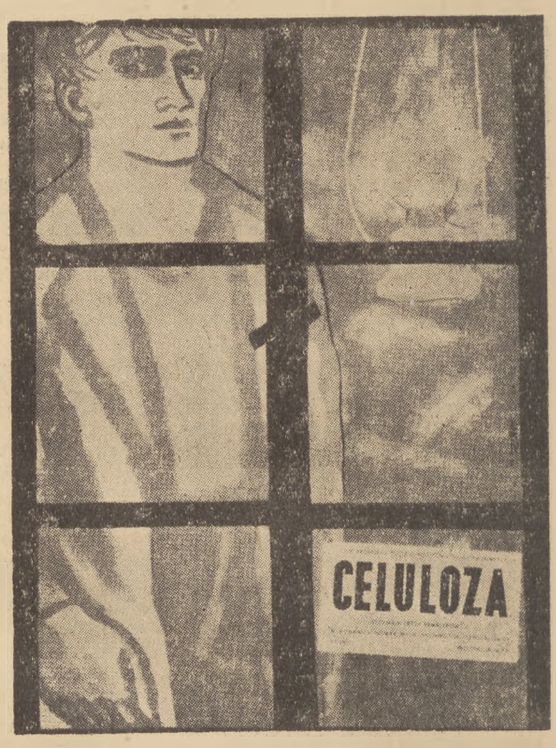

Jan Lenica (1954)

recenzje·recenzje·recenzje

PARADOKSY... PARADOKSY...

Widzowie „Teatru Powszechnego" karmieni od dłuższego czasu XIX-wiecznymi komediami Fredry i Blizińskiego, czy uroczą starzyzną utworów Goldoniego i Marivaux, otrzymali sztukę należącą do epoki nam bliższej, mianowicie „Milionerkę" Shawa. Zmuszeni do podziwiania całymi latami okazów muzealnych — tutaj ujrzeli ludzi i dzisiaj jeszcze nie należących do całkowicie minionych dziejów, usłyszeli zdania zachowujące swoją aktualność, z których wyciągnąć można jakieś wnioski. Oczywiście, nie przeceniam tych możliwości. Wybrano sztukę, będącą niejako momentem odprężenia w doniosłej, sięgającej po wielkie problemy dramaturgii Shawa. „Milionerka" robi po trosze wrażenie sztuki dla sztuki, pretekstu do wypowiedzenia całej lawiny paradoksów, dowcipów, „zaskoczeń" intelektualnych. Jakby znudzony swym rzemiosłem „Szekspir XX w." wydaje się celowo zapominać o głównych przykazaniach sztuki dramatopisarskiej. Pierwszy akt „Milionerki" straszliwie rozgadany nie przynosi żadnego zawiązania akcji. Dopiero w drugim coś zaczyna się dziać, zresztą nie jest to akcja konsekwentnie posuwająca się naprzód, do jakiej przywykliśmy w innych dramatach Shawa. Oczywiście, sędziwy mistrz może sobie pozwolić na taki kaprys, tym bardziej że potrafi te braki nagrodzić innymi walorami. Jest coś odświeżającego w błyskotliwości dialogów tej sztuki, wymarzonej na spędzenie niedzielnego popołudnia dla ludzi znużonych wytężoną pracą umysłową...

Obserwacje? Owszem, nie odznaczające się wprawdzie głęboką przenikliwością jak w „Profesji pani Warren" czy „Major Barbarze" — ale niemniej są. Postać Epifanii Fitzfassenden, w miarę wulgarnej, lecz niepozbawionej kobiecości bogaczki odkrywa wiele tzw. prawd życiowych. Pomijając już liczne złośliwe uwagi pod adresem maszynerii kapitalizmu (w innych sztukach mechanizm tego systemu objawiał się z większą wyrazistością), dzieje zakładu Epifanii z tureckim lekarzem, polegającym na warunku, że za 200 piastrów (co w monecie angielskiej równa się niewielkiej ilości szylingów) utrzyma się przez sześć miesięcy — są bardzo pouczające. W istocie, człowiek, który ma za sobą miliony, rozporządza tak wielką pewnością siebie i tupetem, łatwiej da sobie radę nawet wówczas, gdy przez pewien czas nie może użytkować swego majątku. Tak się też dzieje w sztuce. Najmująca się do pracy Epifania zaczyna natychmiast „robić porządek" w warsztacie majstra krawieckiego według własnego uznania. Będąc pomywaczką w hotelu (te bajeczne nieprawdopodobieństwa Shawa!) — staje się siłą niszczącą starych właścicieli i podporządkowującą sobie całe otoczenie. Oczywiście, stary sceptyk wykpił w tej sztuce wszystkich i wszystko. Ekscentryczna i ograniczona Epifania, jej kretyński mąż, mistrz boksu i tenisa, jej obżarty i głupi kochanek, jej „lekarz domowy", Mahometanin, który zakochał się w pulsie swej chlebodawczyni, kochanka jej męża, „Pra-pończoszka", głupia gęś, klasyczna pocieszycielka strapionych cudzych mężów — oto galeria postaci. Najsympatyczniejsi w tej sztuce są ludzie biedni — Majster z Majstrową, oboje zgnębieni swoim na pół niewolniczym losem w kapitalistycznym społeczeństwie. Wszystko to prawda, a jednak...

Oto podczas tego interesującego spektaklu nawiedziły mnie myśli nieco odbiegające od treści tej sztuki. Uświadomiłem sobie mianowicie, że mimo inteligencji dialogów, dowcipu itp., rzeczy, które powiedziano na scenie — cały ten typ widowiska leży już gdzieś daleko poza nami, lub inaczej: leży na dalekim marginesie obchodzących nas dzisiaj spraw. Pośmiejemy się trochę, ten i ów kalambur utkwi na dłużej w pamięci, ale nazajutrz niewielu z obecnych na przedstawieniu przypomni sobie, że poprzedniego wieczoru byli w teatrze. Już daleko nam do gwałtownej reakcji widzów obecnych na prapremierze tej sztuki! Film współczesny wyprzedził daleko teatr, a szczególnie jaskrawo sytuacja ta przedstawia się u nas. Film (głównie włoski) dotyka bolesnych spraw współczesności: sprawy wychowania młodzieży, wielkiego problemu społecznego i wielu zagadnień moralnych — w naszym teatrze natomiast oglądamy w większości wypadków mniej obchodzące nas dzieje ludzi z innych epok, kilka nienajlepszych polskich sztuk współczesnych (wyłączam oczywiście „Niemców" i „Juliusza i Ethel"!), kilka pozycji tzw. „wielkiego repertuaru" — i to wszystko. „Wypady" z Brechtem i z Wiśniewskim („Tragedia Optymistyczna") — należą nadal do sporadycznych wypadków. Czyżby w dzisiejszej dramaturgii europejskiej nie istniały sztuki bliższe problematyką społeczną, moralną, filozoficzną — naszym czasom? Dzięki i za „Milionerkę" — ale my naprawdę chcemy wyzwolić się jeszcze w większym stopniu spod panowania „muzealności", choćby zabytki należały już do XX w...

„Teatr Powszechny" dał dobre przedstawienie „Milionerki" Shawa. Zawdzięczamy to osiągnięcie (co w wypadku Shawa nie jest najłatwiejsze do uzyskania) w głównej mierze Janinie Martini w roli Epifanii. Napisano gdzieś, że była „monotonna w wyrazie" i że „nie zepsuła przedstawienia". Ależ ona ratowała je dla przeciętnego widza, zbliżyła do niego sztukę Shawa! Przede wszystkim uderzyła we właściwy ton. Tonem tym była jakaś „warszawska bezpośredniość" Epifanii. Martini nie siliła się na wielkie gesty i miny angielskiej bogaczki, nakreśliła postać bardzo dobrze nam znaną jeszcze dzisiaj, postać nowobogackiej pani, pełnej skądinąd swoistego wdzięku i kobiecości, która dorobiła się majątku w sklepie z perfumami, powiedzmy, na „parterowej Marszałkowskiej". Doskonały był Aleksander Dzwonkowski w roli lekarza Turka i Czesław Roszkowski jako Majster. Pani Majstrowa (Wanda Szczepańska) grała bardzo naturalnie. Jerzy Pichelski robił co mógł, aby mąż Epifanii wypadł najmniej intelektualnie Udało mu się to w dużej mierze. Maria Seroczyńska była mieszczaneczką o małym, lecz skutecznym rozumku w roli Patrycji Smith (Prapończoszki). Romuald Nowicki dał bardzo gustowną i nowoczesną oprawę sceniczną. Nareszcie oko widza odpoczęło od szkaradnych graciarni, jakie zwykle tworzy się na scenie z okazji takich sztuk. Oprawa scenograficzna ostatniego aktu wyróżniała się pięknem kolorystyki. Z przerażeniem zauważam, że pominąłem nazwisko reżysera, Jerzego Kreczmara, ale to nic: nim właśnie należy zamknąć to wyliczenie, gdyż jego koncepcja przedstawienia była słuszna, uwypukliła te uroki sztuki Shawa, które jeszcze są żywe.

Daj dobry początek polskim scenom, „Milionerko": więcej współczesności, więcej twórczego intelektualizmu, więcej żywego teatru...

Konrad Eberhardt

ORKIESTRA FILHARMONII

Miłosz Magin jest zapewne typem muzyka, który określa się — nie wchodząc w kwestie pianistyczne o charakterze ogólnym — mianem „chopinisty"; szereg dzieł Chopina, zwłaszcza utwory o charakterze lirycznym, grał on barozo pięknie. Wydaje się jednak, że jeszcze bardziej odpowiada mu muzyka Sergiusza Rachmaninowa. Rozlewny liryzm rosyjskiej muzyki świetnie zgadza się z usposobieniem Magina jako pianisty, a typ wirtuozerii Rachmaninowa wymagający nie tyle perlistej jasności, ile raczej subtelnej miękkości dźwięku przy równoczesnej ogromnej zwinności i sprawności palców w szybkich i dość zawiłych figurach technicznych pokrywa się dobrze ze stylem jego gry. Innymi słowy — gdyby istniał konkurs imienia Rachmaninowa, to w konkursie takim Miłosz Magin musiałby otrzymać nie tylko wyróżnienie, ale bez żadnej wątpliwości jedno z pierwszych miejsc. Dowiódł tego na koncercie symfonicznym w dniu 15 kwietnia grając jedno z najpiękniejszych i najpopularniejszych zarazem dzieł Rachmaninowa — Koncert c-moll. Ci zaś, którzy mieli możność słyszeć Magina grającego ten Koncert bodajże dwa, lub trzy lata temu na popisie absolwentów Warszawskiego Konserwatorium w Teatrze Nowym (gdzie w owym czasie na skutek którejś kolejnej przebudowy sali „Romy" znalazła schronienie Warszawska Filharmonia) wiedzą, że na ostatnim koncercie Magin nie wykazał jeszcze bynajmniej pełni swych możliwości. Być może wpłynęło na to zmęczenie po niezwykle wyczerpującym okresie Konkursu. Wtedy bowiem, w Nowym Teatrze, Magin grał Koncert Rachmaninowa tak wspaniale, że można by było śmiało wykonanie to nagrać na płyty i eksportować za granicę jako dowód wysokiego poziomu młodej polskiej pianistyki.

Trzeba wspomnieć, iż na ostatnim koncercie Miłosz Magin zaprezentował się również jako twórca grając nad program kilka swych kompozycji, z których na szczególną uwagę zasługuje zwłaszcza interesujące i efektowne „Scherzo".

Orkiestra Filharmonii na piątkowym koncercie wypadła dość słabo. Niedokładne wejścia w Koncercie Rachmaninowa mogły mylić młodego solistę, a brak precyzji uderzał szczególnie w „Klasycznej Symfonii" Prokofiewa ze względu na bardzo przejrzystą i finezyjną fakturę utworu. Nie było to z pewnością winą Zdzisława Gorzyńskiego, który w tym dniu stał przy pulpicie dyrygenckim. Wydaje się bowiem, że orkiestra Filharmonii Narodowej od jakiegoś czasu znajduje się w stadium impasu, z którego w ciągu kilku dni, przeznaczonych na przygotowanie poszczególnego koncertu, nie wyprowadzi żaden, najzdolniejszy nawet dyrygent. Przyczyna takiego stanu rzeczy leży nie tylko w trudnych bardzo do niedawna warunkach pracy orkiestry — trzeba bowiem pamiętać, że dopiero od 21 lutego bieżącego roku, to jest od chwili otwarcia nowoodbudowanego gmachu przy ul. Jasnej, Filharmonia ma własną siedzibę, gdy przedtem koncerty odbywały się w „Romie" zajętej zasadniczo przez Operę, a w pewnych okresach również w Nowym Teatrze, a nawet w dawnej „Hali Mirowskiej", próby zaś odbywały się niejednokrotnie na Żoliborzu, lub w innych niezbyt wygodnych punktach. Nie mogło to oczywiście wpływać dobrze na pracę orkiestry.

Jeszcze ważniejsza jednakże wydaje się sprawa repertuaru. Orkiestra Filharmonii Warszawskiej składała się — i składa nadal — w ogromnej większości z muzyków młodych (niektórzy nie pokończyli jeszcze szkół muzycznych, lub bardzo niedawno uzyskali dyplomy), niewątpliwie bardzo zdolnych, ale z konieczności nie posiadających żadnej rutyny. Zaistniał więc dylemat: czy układać programy (a może i ilość koncertów w miesiącu) pod kątem wykształcenia zespołu orkiestrowego tak, by mógł on z czasem dorównać znakomitym orkiestrom zagranicznym, czy też realizować bieżące postulaty życia muzycznego, postulaty wyrażające się choćby w dziesiątkach partytur nowych utworów polskich kompozytorów czekających na wykonanie. Kierownictwo artystyczne Filharmonii, względnie może inne czynniki, od których w danym momencie zależała ta sprawa, wybrały drugą koncepcję. W konsekwencji orkiestra Filharmonii ma na swym koncie bardzo poważne zasługi i wielki wkład w nasza kulturę muzyczna wyrażający się przede wszystkim dłukim szeregiem wykonań (niejednokrotnie bardzo dobrych) i prawykonań dzieł polskiej muzyki, z drugiej jednak strony poziom jej nie mógł się podnosić wobec braku podstaw w wykształceniu młodych muzyków — oczywiście mowa o wykształceniu „orkiestrowym". Wykształcenie to zaś zdobywa młoda orkiestra przez odpowiedni system pracy (poszczególnymi „sekcjami" itd.) — oraz przez dobór repertuaru, w którym przewagę winna mieć muzyka klasyczna. Im bowiem bardziej przejrzysta faktura utworu, tym większej precyzji wymaga jego wykonanie i tym łatwiej wychodzą na jaw wszelkie niedokładności, a młodzi muzycy uczą się precyzyjnego odczytywania tekstu i „zgrywania się" ze sobą tak, by całość brzmiała czysto. Może się bowiem zdarzyć tak, że gdy zacznie grać razem dwóch np. bardzo dobrych skrzypków, o których wiemy na pewno, że nie fałszują, okaże się, że istnieją między nimi dość poważne różnice w intonacji. Konieczna jest więc systematyczna praca dyrygenta nad czystością gry zespołu, co najlepiej osiąga się na utworach klasyków — przede wszystkim Mozarta. Inaczej sytuacja staje się podobna do domu, w którym wznosi się wysokie piętra nie wykończywszy należycie parteru ani fundamentów i całość każdej chwili grozi zawaleniem. Tak też jest obecnie i z orkiestrą Filharmonii. Nawet osoba doskonałego dyrygenta nie jest w stanie zagwarantować poziomu jakiegoś koncertu, nigdy bowiem nie wiadomo, co w danym momencie przeważy: czy młodzieńczy zapał i talent poszczególnych członków orkiestry, czy ogólny brak rutyny i podstaw wykształcenia w grze zespołowej. Jest rzeczą charakterystyczną, że utwory, na których najbardziej „kładzie się" nasza orkiestra, to właśnie dzieła Mozarta...

Sytuacja ta musi ulec zmianie. Bowiem noblesse oblige — i Filharmonia Narodowa nie może być Filharmonią Narodową jedynie z nazwy — winna więc z czasem stać się nie tylko pierwszą orkiestrą w Polsce, ale i za granicą zyskać sobie taką opinię, by tak jak niegdyś przed pierwszą wojną światową, znakomici artyści przyjeżdżali do Warszawy już dla samej przyjemności grania z warszawską orkiestrą. Do zrealizowania tych życzeń droga jest oczywiście daleka i trudna, trzeba jednak mieć nadzieję, że się spełnią.

Jerzy Wojciechowski

Marian Bogusz — Ilustracja do wiersza J. A. Rimbaud: Romans